

47/1000  
Biblioteka Miejska  
ul. Andrzeja 14  
uiszczona ryczałtem.

Cena 8 zł

# WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 2 marca 1947 r.

Nr 9 (88)

Leonard Sobierajski

## PRZED KONFERENCJĄ W MOSKWIE

Zbliża się termin konferencji pokojowej, na której będzie ostatecznie przedyskutowany, a następnie po wzajemnym uzgodnieniu podpisany traktat z Niemcami. Politycy europejscy, którzy zasiadają do konferencyjnego stołu, mają za sobą doświadczenie Wersalu i wszystkich jego konsekwencjami, dlatego nie powtarza się już chyba gesty pobłażliwości ani wielkoduszności wobec narodu, który cywilizację europejską tak zaciekłe grzebał pod gruzami. Chyba, że ktoś chciałby z tej wielkoduszności wybijać monetę własnego interesu; tym razem cała ludzkość będzie pilnie śledziła protokoły dyplomatyczne, by nie wkradła się w ich ducha zamaskowana obłudność, która szermując hasłami humanitarnymi nie pozwoli na wyrwanie pazurów zwierzęciu, wiedząc, że zwierzę z nich zawsze chętnie będzie korzystało. Nie potrzeba tu przypominać, że kwestia uregulowania przyszłości Niemiec jest jaknajściślej związana z naszym bytem narodowym, całe polskie społeczeństwo zdaje sobie sprawę z tego. Dlatego nie będzie nas stać na beznamiętne śledzenie rozgrywek polityków alianckich, cały naród będzie obecny na konferencji w Moskwie, będzie uczestniczył w niej sercem, nerwami i mózgiem, gdyż wchodzi w grę jego przyszłość, spokój i bezpieczeństwo.

Każdy Polak ma jakby obowiązek uprzytomnić sobie w tym momencie te wszystkie racje, których konsekwentnym wnioskiem będzie twierdzenie, że Niemców należy tak potraktować, by Europę przed nimi zabezpieczyć przynajmniej na dobre kilkadziesiąt lat.

Dla rozsądnego człowieka jest jasne, że Niemcy same z siebie nie wyrzekną się marzeń o jakimś możliwym w przyszłości odwecie; nie są narodem, który uznałby swoją ludzką winę, tym bardziej nie przyjmą kary za słuszną. Pragmatycznie mówiąc, to jest niemiecki kompleks z którego trudno będzie jakimkolwiek zabiegami pedagogicznymi wyleczyć ten naród, przetrząsany do szpiku pasją władania nad innymi. Dlatego jedynym rozwiązaniem, będzie postawienie ich w takiej sytuacji, w której automatycznie będzie wykluczona wszelka możliwość wystąpienia państwa niemieckiego w roli napastnika. Nie potrzeba dodawać, że taki zabieg profilaktyczny wyjdzie w końcowym bilansie historycznym na korzyść i samemu pacjentowi — narodowi niemieckiemu.

Rozejrzyjmy się, jakie drogi prowadzą do tej pożądanej przez wszystkich sytuacji, która Niemców skazywałaby na „wieczystą nieagresję”.

Otóż nie ulega wątpliwości, że w żadnym wypadku nie oprą się oni na przyszłość pokusie zaczepki, gdy wokół siebie będą mieli nadal słabszych od siebie partnerów. A więc utrzymać naród niemiecki w stanie pokoju to tyle, co zatrząść dysproporcje, jakie istnieją między nim a jego sąsiadami. Dysproporcje te szczególnie ostro występowały w wypadku Polski. Stąd wniosek: wzmocnienie państwa polskiego winno być podstawowym zadaniem wszelkich rozstrząsań pokojowych. Wzmocnienie to

może nastąpić przede wszystkim kosztem Niemiec. Można jednak i należy na to patrzeć jako na transfuzję wyrównawczą.

Polska i Niemcy stanowiły w okresie międzywojennym dwa organizmy państwowe jaskrawo różniące się swoimi potencjalnymi gospodarczymi. Wobec pełnokrwistego ekonomicznie „sasiada zachodniego”, my byliśmy całkiem anemiczni. Wynikało to między innymi stąd, że za czasów zaborów oddawaliśmy własną krew gospodarzom na rzecz obcego organizmu, gdyż państwo niemieckie wiązało nasze tereny w swoją strukturę gospodarczą pod kątem własnych korzyści. Niemiecki przemysł, który rozwinął się na wschodnich terenach Rzeszy zawdzięczał swój rozkwit przede wszystkim operacjom o rynek „zaboru pruskiego”. Z chwilą utraty tego rynku po 1918 roku przemysł ten popada w stan cofania się. Widać stąd, że wzrost jego ściśle wiązał się z ziemiami polskimi. Włączenie więc tego przetrzęsionego w obręb państwa polskiego jest z punktu racjonalnej gospodarki światowej, celowe i konieczne. W strukturze gospodarczej naszego kraju jest ono na swoim miejscu. Gdy Polska zażądała przesunięcia naszych granic zachodnich po Odrę i Nysę, kierowała się kilku względami. Wyszukiwaliśmy wówczas argumenty natury historycznej, gospodarczej, strategicznej. W wypadku wyżej omówionym otrzymałby swoje rozwiązanie problem gospodarczy. Państwa alianckie wyraziły swoją zgodę na przyznanie nam Ziemi Zachodnich, uznając tym samym konieczność przetożenia do naszego organizmu państwowego brakującej krwi gospodarczej. Wydarłoby się na pozór, że jest to już ostateczne wyrównanie. Dla Polski Ziemia Odzyskana są zastrzykiem nielada, podkreślane jednak różnice potencjałów gospodarczych obu państw wyrównują tylko w bardzo małym stopniu. Niemcy chcą dziś wzmocnić w świat, że utracili ich terytoriów wschodnich na rzecz Polski jest amputacją nie do przetrzymania. Tymczasem liczby dowodzą nam, że są to sugestie bezpodstawne. Gdyby ubytki Niemiec sprowadzały się do tego, co zapisano w ich doborach na rachunek Polski, to nadal pozostałoby gospodarstwo o wiele silniejsze od nas partnerem. A dla nas kwestia bytu i jakiejś względnej równowagi z tym groźnym sąsiadem byłoby to, aby potencjał gospodarczy Polski zbliżył się w niedalekiej przyszłości do niemieckiego. Dzięki Ziemiom Odzyskanym zdobywamy tu tylko konieczny punkt wyjściowy. Jest to warunek „sine qua non” dla naszej państwowej egzystencji, który nie stwarza nam jeszcze równorzędnej z Niemcami pozycji, co najwyższej poprawia przedwojenną. Dla zilustrowania tego przytoczę kilka cyfr.

Rozpocznijmy od węgla, który dziś jest naszym najcenniejszym artykułem wywozowym. Przed wojną wydobywaliśmy rocznie 36 mil. ton — Niemcy około 185 mil. ton, pięciokrotnie więcej. Obecnie utracili one na rzecz Polski

zaledwie 16% swojego stanu sprzed 1939 roku, co daje około 30 milionów ton. O tę samą sumę (teoretycznie) zwiększa się nasze wydobycie. Wskaźniki obecnie wyglądałyby tak: Polska 66 milionów ton — Niemcy 155 milionów ton. Gdyby więc Zagłębie Ruhry i Nadrenia miały na przyszłość pozostać w ramach gospodarki niemieckiej, to niemiecki wskaźnik węglowy byłby jeszcze o 2,3 większy od naszego. Bardziej zastanawiająco wygląda jeszcze wskaźnik ogólnego uprzemysłowienia. Otóż cały aparat przemysłowy, jaki Niemcy, pozostawili na „Ziemiach Odzyskanych” stanowi tylko 7% ich ogólnego aparatu przemysłowego. Część przypadająca Polsce jest załóżnie mała wobec tego co pozostaje przy Niemcach. Przez włączenie do Polski Ziemi Odzyskanych dysproporcje gospodarcze się nie zatarły, uległy tylko zmniejszeniu. Na naszą korzyść należałoby zaliczyć to, że poważny procent przemysłu niemieckiego w postaci urządzeń i maszyn zostanie z Niemiec wywieziony z tytułu odszkodowań wojennych. W każdym razie nawet wtedy jeszcze gospodarstwo nie będziemy wyrównani. Trzeba by nam dużej kapitału inwestycyjnego, dzięki któremu moglibyśmy w pełni wykorzystać to wszystko, co posiadamy. Posiadanie tego kapitału już w tej chwili dawałoby nam szansę lepszego i szybszego startu gospodarczego z baz dzisiaj zajmowanych. O ile patrzemy w dalszym ciągu na sprawę z punktu uczynienia Niemiec „miłośnikami pokoju” przez wzmocnienie ich sąsiadów, to należałoby stwierdzić, że Polska ma prawo oczekiwać pomocy finansowej od państw alianckich, gdyż ta pomoc dopiero pozwoliłaby skuteczniej rozbudować naszą gospodarkę tak, by dała ona nam siłę równą sile przyszłego państwa niemieckiego. A to jest właśnie ta sytuacja, w której Niemcy nie odważą się na wystąpienie w roli agresora. Stąd przyszła konferencja pokojowa przez prawne wyroki na Niemcy powinna dać pełne zadośćuczynienie Polsce — polityczne i gospodarcze.

Ziemia Odzyskana będą przedmiotem obrad konferencyjnych. Na podstawie konferencji poczdamskiej uchwalono formułę o polskim „administrowaniu” tymi ziemiami, pozwalając rozumieć słowo „administrowanie” jako posiadanie. Przyszły traktat ma nadać moc prawną faktycznemu już posiadaniu tych ziem przez Polskę. Jest rzeczą prawdopodobną, że Niemcy będą próbowały obrony (w przewodzie traktatowym) same, bądź przez swoich sympatyków. Wytoczą tu argumenty, które dadzą się ująć w dwóch punktach. Przez utratę swoich terytoriów na rzecz Polski tracą silny ośrodek przemysłowy, co jest niezastąpionym brakiem w ich przyszłej strukturze gospodarczej; argument drugi, którym chcieliby wybronić te ziemie, to skarga, że pozbawia ich się bazy aprowizacyjnej. Co do pierwszego punktu, to po przyjrzeniu się cyfrą widać, że nie mają racji, ponieważ uprzemysłowienie utraconych obszarów stanowi tylko 7% ogólnego uprzemysłowienia Niemiec, także samo i dochód

narodowy wynosił zaledwie 9% ich globalnego dochodu. W oświetleniu choćby tylko tych liczb widzi się, że straty w gospodarce niemieckiej na naszą rzecz tak wiele ich ziół nie kosztują.

Nieodparto na pierwszy rzut oka wydaje się argument dotyczący aprowizacji, gdyż Niemcy z terenów utraconych ciągnęli 24% żywności. Ten ubytek mogą jednak wyrównać przez skrzętne wykorzystanie swoich nieużytków, które sięgają przeszło 500.000 ha, oraz przez zniesienie wielkiej własności ziemskiej, co podniosłoby znakomicie dochodowość ich gospodarki rolnej. Sytuacja żywnościowa, w jakiej obecnie się znajdują, zmusi ich do zmian ustrojowych, ponieważ stanie się dla Niemiec rzeczą konieczną przeprowadzenie reformy rolnej. Dla spokoju Europy będzie to zysk kolosalny, ponieważ zostanie wówczas zlikwidowane junkierstwo niemieckie, które najsiłniej podtrzymywało tradycje militarystyczne. Spójrzmy jeszcze na sprawę wyżywienia Niemiec od innej strony. Wiadomo jest, że były one krajem wysokiej kultury rolnej, że miały świetnie rozwiniętą hodowlę. Dzięki temu ich spożycie na głowę takich artykułów jak tłuszcz, cukier, namiastki było kilkakrotnie większe od spożycia w Polsce, więc dziś, gdy to spożycie zmniejszy się o 24%, to nadal będzie ono grubo wyższe niż u nas, więc i na tym odcinku nie spotka ich większa krzywda. Tak więc i z punktu ludzkiego spojrzenia na sprawę nie jest do obalenia nasze prawo do Ziemi Odzyskanych.

Pozostaje jeszcze kwestia druga, czy będziemy mogli wobec świata zagwarantować, że nie zmarnujemy tych dóbr, które dostały się nam do ręki. Otóż to, co dotychczas dokonaliśmy na Ziemiach Odzyskanych, mówi samo za siebie. Żyje na nich obecnie przeszło cztery i pół miliona Polaków, podstawowe gałęzie przemysłu są uruchomione, produkcja mimo zniszczeń wojennych sięga już 50% produkcji niemieckiej sprzed 1939 roku. Państwo Polskie daje pełne świadectwo, że potrafi na nowych terenach gospodarzyć wcale nie gorzej od ich poprzednich właścicieli. To jest nasz bilans, z którym przedstawiciele Polski mogą spokojnie stanąć na konferencji w Moskwie. My od siebie zrobiliśmy wszystko, co jest zależne od ludzkiej energii, mózgu i dobrej woli. Moglibyśmy zrobić daleko więcej, gdyby nie które z państw alianckich miały nieufności udzieliły nam życzliwej pomocy, na którą Polska zasłużyła sobie chyba jako najlojalniejszy sojusznik i zasługuje nadal jako gwarant bezpieczeństwa Europy.

Czegóż jeszcze możemy się spodziewać po Konferencji w Moskwie prócz pozytywnego załatwienia sprawy Ziemi Odzyskanych. Otóż my od siebie musimy domagać się rozciągnięcia nad Niemcami surowej kontroli wojskowej. Instrumentem wykonawczym tej kontroli byłaby tu siła zbrojna O. N. Z. Należałoby dla niej stworzyć cały szereg baz w bliskim sąsiedztwie Niemiec, by stam-

(dokończenie na str. 2-ej)

Józef Bieniek

## ZZA KULIS ZIELONEJ MELPOMENY

Tocząca się na łamach „Wsi” w roku ubiegłym dyskusja na temat teatru ludowego wniosła niewątpliwie w to tak ważne dla wsi zagadnienie wiele cennych momentów. Gdy spojrzeć jednak na te sprawy od dołu, z terenów kulturalnie niemal że pustynnych, wydaje się, że głosy i tezy dyskusyjantów zawieszono są w próżni, że błądzą w sferze abstrakcji, zdala od powszechnej rzeczywistości, przypominając owo przysłowiowe dzwonienie w kościele, który się dopiero budować zaczyna.

Nieszczęściem życia polskiego było i jest — to, że budowę pewnych jego odcinków zaczyna się od gąłki na wieży, zapominając o fundamentach i ścianach. Bo przecież, zgodzimy się z tym wszyscy, że teatr ludowy fundamentów nie miał i nie ma. Były próby i osiągnięcia wspaniałe, choć wąskie ślanką zasięgu, dzieła takiego geniuszu sceny chłopskiej jak Cierniak. Ale to fragment zaledwie wobec całości zagadnienia i za fundamentalny w sensie upowszechnienia uchodzić nie może. Tym bardziej, że postać żarliwego poszukiwacza dróg i wyrazu dla chłopskiej kultury scenicznej zgasia w podmuchu wojny. A kiedy brakło wozu, rozpoczęte przezeń dzieło obliczone na daleką metę, utknęło na skraju drogi. Nowy widz-geniusz, apostoł plany entuzjastycznym umiłowaniem przedmiotu, nie zjawia się, a młody sztab znawców problemu, elita mająca kontynuować dzieło mistrza, kłóci się w wyborze dróg, lub odeszła ku bardziej intrzyntnym zajęciom.

A wieś czekał Czeka, bo nie ma jeszcze na tyle dojrzałej siły własnej, by sama podolała rozwiązać stojący przed nią problem chłopskiego teatru i chłopskiej sztuki teatralnej. Trzeba jej więc pomóc!

Do spraw teatru ludowego (w sensie wlejskim) podejść należy trzeźwo i prymitywnie, od zasadniczych elementów poczynając, według poziomu, na jakim się znajduje i objawia najczęściej i najpowszechniej.

## KŁOPOTY ZE SCENĄ

Wyodrębnić w nim wypaść trzy podstawowe elementy: scena, reżyser, repertuar.

Z trzech bolączek pierwszą jest najczęściej do rozwikłania, gdyż wiąże się z odpowiednim pomieszczeniem — czy to będzie dom ludowy, Chłopski Dom Kultury, Oświaty czy Sztuki, czy wogóle jakaś sala, dla celów teatru przeznaczona. Takich pomieszczeń, domów, sal narazie nie ma, względnie jest bardzo niewiele. Nic też nie zapowiada, by w najbliższej przyszłości nastąpiły większe zmiany na lepsze. Wpierw przecież odbudować trzeba zrabane toporem wojny osiedla i pozagajać rany okupacyjno-frontowej gospodarki.

Jak ciężka jest sytuacja z pomieszczeniem dla teatrów ludowych, niech świadczy fakt, że na terenie mojego powiatu, na 170 gromad istnieje około 15 domów ludowych, w tym kilka zajętych przez spółdzielnie. Scen stałych mamy zaledwie sześć. W powiatach sąsiednich nie jest wiele lepiej, a bywa i gorzej.

## JEDEN Z LICZNYCH PRZYKŁADÓW...

Cóż więc z tego, że tu i tam, rzadko zresztą, zagrają zespoły chłopskie dobra, dobrze opracowana i nawet przez siebie stworzona sztuka, kiedy w tysiącach wiosek życie kulturalne — świetlica, teatr, czytelnia nie istnieje wcale, lub vegetuje, a najczęściej właśnie z braku lokalu. Nieskończona ilość zespołów istniejących mimo wszystko, chcąc coś zagrać musi korzystać z klas szkolnych. A klasy, jak klasy — przeładowane nauką, małe i ciasne nadają się na wszystko z wyjątkiem teatru. Na uparte go zagra i tam. Oczywiście. Sam grałem nie raz i nie dwa — więc wiem. A wygląda to mniej więcej tak: gdy sztuka wykuta już na blachę — w sobotę, po nauce, znosi się z całej wsi deanki, ostony z wozów, kobylice i przystępuje do budowy sceny. Z braku miejsca musi ona posiadać formę kieszki; jest wąska, długa i arcyniewygodna. Ma też wszelkie cechy żywej istoty — czyli, że trzeszczy przy każdym kroku aktora, skrzypi i piszczy niby kot, któremu zdeplano ogon, a chwile się niczem kura po wysuszeniu pół litrówki. Jaka ta scena jest, to jest, grunt, że jest. Dekoracji za to nie ma, kulisów też, kostiumów także. Kurtyna ze starych płacht, przesłocerań, lub koców. Wolna oko-

## PRZED KONFERENCJĄ W MOSKWI

(dokończenie ze str. 1-iej)

ąd mogły czuwać nad tym, aby Niemcy uciekając dotrzymywały klauzuli traktatowych, bądź aby w przyszłości nie rzucili się na któregoś ze swoich sąsiadów. Silni sąsiedzi Niemiec, a prócz tego formacje wojskowe O. N. Z. oto czynniki, które mogą wprowadzić Niemcy w grono „narodów mitujących pokój”. Nie należy się tu odwoływać do dobrej woli pokonanego narodu, bo do tychezas w historii jej nie wykazał i wszystko przemawia za tym, że nie wykaże jej nadal, trzeba go więc postawić w sytuacji przymusowej w której chceć czy nie chceć będzie musiał wyrzec się wszelkich aktów agresji.

Leonard Sobierajski

lica z dwóch świerków, nad którymi bisieje niebo sufitu, a na nim pajęczyny świetnie imitują subtelne zachmurzenie. Izdebka chłop ska — to dwa krzesła lub ławka i stół, pokój „pański” tak samo, plus obrazek, komnata królewska identycznie, plus dwa obrazki.

Między sceną a widownią nie ma prawie żadnego dystansu — no bo ciasno. Widzowie omal że nosami nie dotykają nóg aktorów, przy czym „dowcipniejsi” pozwalają sobie na różną uwagę w rodzaju: Małaa, bo ci majtki leżą, — co oczywiście odpowiednio usposabia grających i tak już niemało zdenerwowanych i stremowanych.

## A na scenie?

Przed wszystkim gra się sztuki o najmniej szej ilości ról, gdyż szczupłość miejsca na in ne nie pozwala. Kiepska lub żadna reżyseria, brak charakterystyki i kostiumów czynią z Nieboskiej Komedii — nieładną nęcą i powodują ową osiawioną, specyficzną, busz meńską reakcję, widza chłopca, który mimo nieobeznania teatralnego poznaje się na „dziadownianiu”, patrzy na scenę z litościwą ironią, bez przekonania, nie dając wiary ani uczuć dziejącym się przed nim sprawom. Jak że jednak może inaczej, kiedy najwyraźniej widzi że 70-cioletnia hrabina do poprostu młodzianka Marysia od kowalki, a siwo wlosy i zgrzybiały hrabia, to również nie starszy — pełen temperamentu Franek sohy siak. W dodatku obydwójce ubrani tak jak do południa byli w kościele. Dla ścisłości dodać należy, że hrabia Franek za całą starość ma bokobrody wyrzysowane węglem i lizane wasy — przy czarnej czuprynie — które jak na złość w najpoważniejszych i najtragiczniejszych momentach sztuki okazują wyraźne skłonności do repatriacji, a wreszcie spadają na scenę, powodując huragan śmiechu. Publiczność bawi się długo, głośno i znakomicie. Ale cały moralny, artystyczny czy dydaktyczny sens i efekt diabli biorą.

## REŻYSER NA WSI

O ile funkcje reżysera jest tak nieodzowna i decydująca w teatrze inteligentkim przy najwyższym nawet poziomie zespołu aktor skiego — to tym ważniejsza jest ona w teatrze ludowym, przy zespołach amatorskich złożonych z materiału surowego, nieobezna nego z najelementarniejszymi zasadami gry scenicznej, paraliżowanego na dodatek tremą, fałszywymi ambicjami i dziewczęcym wsty dem. W takich warunkach i stosunkach praca reżysera to jedno pasmo trudu i udręki, za które przedziękować moralną satysfakcją, gdy sztuka odniesie sukces, nikt niczym nie zapłaci. Tym też ważniejsza i odpowiedzialniejsza jest jego rola i misja, tym bardziej konieczna i pilna staje się sprawa szkolenia licznych kadr fachowych, znawców reżyserii, charakterystyki, kostiumologii i gry scenicznej.

Ale tej sprawy nie da się załatwić do dziełsichymi metodami dorywczych, parudnio wych kursów w ramach tej czy innej organi zacji. To trzeba robić planowo, systematycz nie i na dłuższą metę.

## SZKOŁA TEATRU LUDOWEGO

W niedalekiej przyszłości winna zaistnieć państwowa szkoła teatru ludowego, w której kształciłoby się w pierwszym rzędzie szeregi reżyserów — jako budowniczych i kierowni ków zielonej Melpomeny. Ludzie tacy, włą czeni w sektor administracyjno-samorządowy, względnie działający w oparciu o wielkie organizacje chłopskie, pełniłyby funkcje in struktorów teatralnych na szczeblach powiatu, gminy czy rejonu. Zadaniem ich byłoby organizowanie teatralnych zespołów amato rskich lub stałych, przeprowadzenie kursów reżyserii, charakterystyki, kostiumologii i gry scenicznej, troska o właściwy dobór repertu aru, opieka i pomoc fachowa przy opracowy waniu i wystawianiu imprez teatralnych, a także montowanie regionalnych grup i wid owisk, celem zebrania i przekazania stroju, obyczajów i kultury danego terenu innym re gionom kraju, oraz miastom i osiedlom ro botniczym.

Rzecz jasna, że o powodzeniu takiej akcji decydowałby odpowiedni dobór ludzi. Taki instruktor nie może być typem kołem w bu rokratycznym płocie, ani bezduśzną machiną robiącą kulturę teatralną za biurkiem, na papierku, wykonywując rozkazy góry, na ślepo, bez przemyślenia. Musi to być czło wiek o nieprzeciętnej inteligencji, ruchliwy, pełen inwencji twórczej, prawego charakte ru, entuzjasta teatru, dobry znawca psychiki i mentalności chłopca, oraz obyczajów i hi storii swego regionu.

A propos problemu reżyserkiego nie bez dodatkich konsekwencji byłoby włączenie w program szkół i seminariów nauczycielskich większej ilości godzin poświęconych najw ażniejszym zagadnieniom z dziedziny reżyserii, charakterystyki itp. Zaś dla poprawy sytuacji na całym froncie teatru ludowego trzeba by koniecznie śpiące przy starostwach Referaty Kultury i Sztuki obudzić potężnym zastrzy kiem jakiejś wybitnie podniecającej drapczy liny, by przestały politykować w wąskich ra mach takiej czy innej partii, a wzięły się na serio do spraw, jakie im Obywatelka De mokratyczna włożyła na barki.

## KŁOPOTY REPORTAŻOWE

Sprawy repertuaru dla teatru ludowego jakkolwiek nie stoją lepiej do tamtych dwóch, są przecież o wiele od nich mniej piekące. Mimo wszystko dobry reżyser w gro-

madzie istniejących sztuk zawsze jeszcze coś wyszuka. Gdy braknie sztuki, wyinscenizuje wążek powieściowy, legendę, wiersz, piosenkę i zawsze swoje osiągnie.

Inna rzecz, że olbrzymia większość do dzi siejszych względnie przedwojennych sztuk „dla ludu”, to stek przeraźliwie idiotycznych bzdurstw i nonsensów. Nic zresztą dziwnego. Nie pisali ich chłopci, ale miejscy inteligenci, znający wiesz z obrazka lub wakacyjnych wy śszek, uważając chłopca za dziwnie uprosz czonego stwór, podobny czasem do anioła, czę ściej do diabła, raz do ośła, to znów do cie lęcia — rzadko kiedy do człowieka.

Zagadnienia te przedstawiają się tym tra gicznie, że rzadko która z sztuk repertuaru inteligentkiego i klasycznego nadaje się na wiejską scenę, choćby nawet i taka z praw dziwego zdarzenia. Operują one przecież nie tyle akcją, ile problemem, pikanterią sytu acyj, dwuznacznkami, zręcznymi pointami, grą słów, złośliwostkami, à la Shaw i tym wszystkim co dostępne jest tylko umysłom wykształconym.

Teatr ludowy to przede wszystkim akcja — widowisko, życie, ruch, wypadki i zdarzenia oplecione dialektyką prostą, jasną, zwartą i dydaktyczną. Takie teatr ludowy — w prze ciwieństwie do niejakiego okolicznego w pierwszym rzędzie na przezięcia duchowe i rozrywkę — musi przede wszystkim uczyć i wychowywać. Jak literatura, organizacja i szkoła musi i on wejść w zespół aktywnych sił chłopskich pracujących na froncie Wiel kiej Przemiany — ukształcąc drogi ku niej wiodące.

Nieszczęście w tym, że sztuki, któreby teatr ludowy na te drogi wprowadziły jeszcze nie ma. Ale to nic — one będą. Muszą być! Na piszą je chłopci sami, chłopscy pisarze. Ci co już są i ci, co jutro przyjdą. Tu jedna uwaga: wiesz nie chce łatwej propagandy.

Mówię to na podstawie własnego doświad czenia. Oto wiosną roku ubiegłego sprowa dzitem z Łodzi kilka egzemplarzy sztuki pt. „Rozszumiwały się wierzby”. Rozchwycono je w mig — rzeczy tych brak, a zresztą uwiódł kupujących tytuł szumiący echemi party zantki. I tej właśnie sztuki nie zagrano nig dzie. Dla jej — jak mi powiedziano — „sa nacyjnej konstrukcji” polegającej na gloryfi kowaniu pewnych niepopularnych jeszcze na wsi postaci i owych osławionych już. Wiwat! Niech żyje! Hurra! Takie rzeczy, jeśli konie cznie, dawknąć trzeba ostrożnie i powolutku — jak rychnus.

## PROJEKT TEATRU OBJAZDOWEGO

Biorąc wszystkie mankamenty wlejskiej Melpomeny pod uwagę, uwzględniając — ich powszechność — brak perspektyw na ich rychłą likwidację, wydaje się, że najwłaściw szą drogą wyjścia z impasu, na szlak realnej i planowej rozbudowy teatru ludowego byłoby stworzenie zespołów objazdowych. Zespoły takie rozmieszczone w 2—3 punktach powia tu, mając pewne wyrobienie sceniczne, fa chowe kierownictwo, dobry i dobrze opraco wany repertuar, objeżdżając teren dawałyby niejako lekcje poglądowe, jakim być powin nien teatr, ucząc widza patrzeć, pojmwować i wartościować zjawiska sceniczne, zaś akto ra — amatora należytej postawy scenicznej i właściwego stosunku do odtwarzanych po staci.

Ze względu zaś na brak scen i sal, należa łoby także opracować widowiskami nadają cymi się do wystawiania na wolnym powie trzu. Byłyby to dopiero pierwszy i zasadniczy krok do upowszechnienia teatru, o którym się tyle mówi i pisze.

I jeszcze jedno. Sprawa pomieszczeń dla teatru ludowego tak tragiczna i odległa w centralnej Polsce, na całym obszarze Ziem Odzyskanych nie pozostawia prawie żadnych trudności. Tu bowiem, niemal w każdej wio sce i osiedlu, jest dom z dużą salą, nierzadko ze sceną. Nie ma tylko komu ożywić go i za pełnić treścią.

## WIECZÓR PISARZY CHŁOPSKICH W WARSZAWIE

15 lutego odbył się w Warszawie w skrom nej sali Związku Samopomocy Chłopskiej na Pl. Starynkiewicza 7, wieczór pisarzy chłopskich, skupionych w Oddziale Wiejskim Zw. Zaw. Lit. Pol.

Pośpiesznie zorganizowana impreza nie ściągająca wielu słuchaczy. Na wieczór przy była gromadka entuzjastów poezji, spora liczba przedstawicieli prasy, no i przybyli przede wszystkim przedstawiciele Min Kultury i Sztuki z min. Dybowski i wice-min. Kruczkowskiem na czele.

Wieczór otworzył Stefan Lichański krótkim referatem o dzisiejszym dniu literatury chłopskiej. Następnie czytali swoje utwory ci pisarze, którzy na wieczór zjechali się: Józef A. Frank, Marian Kubicki, Antoni Olcha, Edward Marzec, Józef Morion, Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Piętań i Stanisław Skonecz ny.

Wieczór, mimo pewne braki organizacji wywołał duże wrażenie. Niektórzy z słucha czy zwrócili się do pisarzy chłopskich z ape lem, by powtórzyli w Warszawie imprezę w bardziej stosownej i reprezentacyjnej sali, choćby w sali któregoś z warszawskich tea trów.

J. Ch.

Jan Bolesław Ożóg

## WIERSZY

## Na piecu orał

Na piecu orał, żyto siał,  
ona płakała, on się śmiał!

„Niech rośnie!” — żyto, młóć i chmiel  
w kopy im nagi stawiał Lel.

„Ona płakała, on się śmiał  
i albo : lat i cegiel tkal.

„Aby na skrzydłach kielń i pił  
motyl maleńki tili.

## Matka Boska Rzeszowska

W Rzeszowie u Bernardynów  
klepało raz dwu murzynów.

Jeden murzyn był niebieski,  
drugi ruski albo czeski.

Jeden przyniósł w ręce bazie  
i położył na obrazie,

drugi świstał organkami,  
aż zobaczył ją za szkami.

Matka. Boż! śliczne nóżki  
okryła listkami gruszeki.

Na szczebie się objawiła  
i tu dzieciątko powiła.

Piersi małe jak dwie gąłki,  
rączkę zrywa ulegali:

Dziecię serne ssie paluszki  
a ona je słodkie gruszeki.

Na obrazie nikt nie widzi,  
może tylko święty Idzi.

albo może święty Jerzy,  
najpierwszy z rycerzy.

## Ulotka

Bóg naszych pól — jak rozstrzaskany „Łoś”,  
Milion czołgów miażdżyło front  
i bomb i min —  
i w śmierć z ostatnią gnał baterią zaprzęg  
wiernych koni.

Stąd,  
z placu rzezi i agonii  
niech ta pieśń pachnie jak łubin — ją proś,  
gdy granat jak rybę opuchłą ściśnie syn.  
aby lekka była,  
tak jak prochom wata dali.

Lotniska, skąd wystartują lany żyta i bobu,  
błądzą, skąd ślub jaskółki, krew zatopila,  
z barykad kalina się pali...

O noc, gałęzie żałoby!  
Nie koniec! Raz jeszcze na szaniec  
Słonecznik, oliwina  
i lopuch i kamień i źródło!

W płacicie dróg dźwigniemy wiechy  
nowych stołce i nowe hangary.  
Jeszcze wciąż drzemie najdalszy łopot  
granic.  
Stamtąd, jak motyl nad szyną, ostatni  
powiew sztandaru.

Ramię do ramienia, góry i wody, doliny,  
hej ziemi, zbrój się, zbrój!

1941.

\*) Wiersze wyjęte z tomu „Teraz polna”,  
który ukaże się w najbliższym czasie nakła dem Oddziału Wiejskiego Z.Z.L.P.

**K**IEROWNICTWO całej akcji ujęła w swe ręce ciotka Teresa. Postanowiła zastosować środki radykalne.

Postępując według jej instrukcji, Władka i Celia przypilnowały wieczorem Feliksa, gdy odprowadzał ze spaceru Stasię do domu. Zrobiły na ulicy awanturę. Nim groźna postawa Feliksa zmusiła siostry do ucieczki, zdążyły namyślić Stasię, że włóczy się po nocach z „ich” bratem, że przyzwolta panna, w dodatku uczennica w mundurze, tak nie powinna, że wstyd, że... „tylko stróżowna tak potrafi” (ostatnie słowa dotrwały już z bezpiecznej odległości).

To nie poskutkowało. Przyszli narzeczeni spotykali się nadal. Stasia tylko zaczęła się nieco konspirować, na spotkaniu wychodziła nie w berecie szkolnym, lecz w kapeluszu.

Wtedy, po gruntownych przygotowaniach, wystąpiła do ostatecznego uderzenia — ciotka Teresa. Poszła do gimnazjum i przed dyrektorką oskarżyła Stasię, że „balamuci” jej syna, że umalowana i w kapeluszu chodzi z nim do kawiarni, że go „naciąga”, że przyjmuje od niego pierścionki z brylantami, że syn t.j. Feliks ma obowiązki wobec rodziny, a taka bezwstydną rujnuje go materialnie.

Okazało się, że Stasia rzeczywiście nosi pierścionek z brylantem, który podarował jej Feliks.



Stasi nie wydalono oficjalnie ze szkoły, ale wytworzyła się tam taka atmosfera, że sama zrezygnowała z dalszego uczęszczania, a tym samym z ukończenia gimnazjum.

Poza tym, akcja ciotki Teresy przyspieszyła tylko zaręczyny Feliksa. Wszystkie wolne chwile spędzał teraz w domu przyszłych teściów.

#### W OSTATNIM NR 8 (87) „WSI” Z DNIA 23 LUTEGO 1947 R.:

Jan Aleksander Król — Dwie epoki ruchu ludowego (II); Anna Kamińska — Prowincjałki; Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś; Jan Sobek; Jan Wilk; Tadeusz Papier — Ostatnie wierzby; Bolesław Soczyński — Kasztanki; Piotr Stanisław Ziarnik — Recenzje; Mieczysław Kafel — Kobięce czasopisma wiejskie; Fakty i zdania; Komunikaty; 2 ilustracje, 8 stron.

#### KSIAŻKI NADESLANE

##### WYDAWNICTWO „KSIAŻKA”

Anna Świrczyńska — Arkona — Gród Świewitowa — str. 233.

W. Wasilewska — Ojczyzna — str. — 275.

Upton Sinclair — Nafta — tom II — str. 322.

##### WYDAWNICTWO POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO

Problemy Łużyckie — str. 108.

##### PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Henryk Jabłoński — Opinia — Parlament — Prasa — str. 308.

Wiktor Krzyżanowski — O Polskości Śląska, str. 66.

##### SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA”

Adam Ważyk — Antologia współczesnej poezji rancuskiej — str. 250.

Teofil Wojeński — Historia Literatury Polskiej — str. 164.

##### WYDAWNICTWA INNE

A. E. Balleki — Ku czci Kościuszki, str. 15, Wydawnictwo Głównego Komitetu Kościuszkowskiego w Krakowie, 1945.

Czarne bogactwo węgla — str. 31, Wydawnictwo Komisji Popularyzacji Planu Odbudowy Gospodarczej.

Dziś i jutro hut — str. 31, Wydawnictwo Komisji Popularyzacji Planu Odbudowy Gospodarczej.

Czesław Garda

ilustr. St. Cieloch

## Mieszcząńska opowieść

Wydarzenia, jakie wkrótce nastąpiły, zaskoczyły mnie zupełnie.

W urzędzie zawieszono kuzyna w pracy i rozpoczęto przeciw niemu dochodzenie dyscyplinarne na skutek skargi paru osób, właścicieli różnych drobnych przedsiębiorstw handlowych. Ludzie ci dowodzili, że powierzyli Feliksowi pieniądze, a on „z grzeczności” wpłacał je do kasy skarbowej, ułatwiając im w ten sposób formalności związane z opłatą podatku. Przez pewien czas Feliks wręczał płatnikom pokwitowania i wszystko było dobrze. Ale od wielu tygodni, choć wiał pieniądze, wykreczał się od okazania dowodu wpłaty. Za przywłaszczeniem przemawiał fakt, że wszyscy oskarżyciele otrzymali upomnienia, wzywające do opłacenia podatku.

Ciotka Teresa pieniała się ze wzburzenia, ale jednocześnie triumfowała.

— To wszystko przez tę małpę — wykrzykiwała teraz pod adresem Stasi — a nie mówiłam?

Tymczasem, z polecenia prokuratora aresztowano Feliksa. Za złożeniem odpowiedniej kaucji, mógł jednak być do sprawy zwolniony.

Feliks gotówki nie posiadał, tłumaczył się od samego początku, że powierzone mu przez oskarżycieli kwoty użył chwilowo na opłacenie rat wekslowych i innych zobowiązań.

W domu wuja Teodora również pieniędzy nie posiadano, zresztą nie kwapięno się z przyjeściem synowi z pomocą.

Wówczas, ojciec Stasi zaciągnął pożyczkę, dołożył wszystkie zmusznie uciulane oszczędności i jakoś starczyło na kaucję.

Ciotka Teresa uważała to za całkiem naturalne.

— Dawał im pieniądze — mówiła — poszedł przez nich do więzienia, niech go teraz ratują.

Feliks odzyskał wolność na kilka tygodni i w tym czasie wziął cichy ślub ze Stasią. Zamieszkał u teściów, w domu rodzinnym zjawiał się rzadko i na chwilę, gdy potrzebował czegoś ze swoich ruchomości.

Kiedy kuzyn odsiadywał już karę więzienną, często myślałem o jego przyszłości: — Jak sobie później życie ułoży? Posiadał tylko ogólne średnie wykształcenie, o powrocie na posadę w urzędzie nie było już mowy, więc co, gdzie? I w dodatku żonaty.

„Przyszłość” okazała się dla Feliksa o wiele brutalniejsza i okrutniejsza od tej, jaką sobie imaginowałem.

W czasie drugiego roku pobytu w więzieniu, kuzyn przeszedł zapalenie płuc i zapadł na zdrowiu. Stan jego uznano widać za groźny, bo wkrótce miał uzyskać przedterminowe zwolnienie, o pół roku wcześniej, niż głosił wyrok.

W domu wuja Teodora wiedziano o tym, gdyż Feliks korespondował z ojcem, do którego nie czuł urazy.

Ciotce Teresie wydało się, że nadeszła niespodziewanie okazja odzyskania syna. Łudziła się, że jeszcze wszystko da się naprawić i Feliks rozwiedzie się z „tą małpą”. Najważniejszą sprawą było, żeby go tylko skłonić do zamieszkania w domu rodzinnym, gdzie przecież warunków do odpoczynku i kuracji o wiele miał lepsze niż w „tamnym” ciasnym, dusznym mieszkaniu, składającym się z kuchni i małego pokoiku.

Okoliczności układały się dla ciotki Teresy pomyślnie. Feliks opuszczał więzienie tak osłabiony, że trzeba było rozłożyć nad nim opiekę w ciągu całodziennej podróży koleją. Stasia w ostatnich tygodniach otrzymała pracę przy spisie wyborców do rady miejskiej i trudno jej było się zwolnić.

Więc kto miał jechać, jak nie matka? Pojechała i z całą troskliwością i nadzieją przywiozła tę swoją zdobycz.

Już następnego dnia nieporozumienie się wyjaśniło. Feliks przypuszczał, że rodzina ustosunkowała się przyjaźnie do jego żony, która — „mile widziana” — będzie go mogła odwiedzać. Tymczasem — ciotka Teresa okazała szczere zdziwienie.

— Jako — mówiła — zrujnowała ci życie i jeszcze o niej myślisz!?

Nie znam szczegółów dalszej rozmowy, która — wiem tylko — przemieniła się w awanturę.

I tegoż dnia Feliks miał silny krwotok.

Ciotka musiała uznać swoją porażkę.

Stasia całe wieczory przesiadywała te raz przy mężu, a później, gdy stan jego pogarszał się coraz bardziej, zamieszkała u teściów na dobre.

Lekarz nie robił już rodzinie nadziei i powątpiewał, czy Feliks dożyje do wiosny.

Chory jednak chciał żyć i nadziei nie tracił.

— Zobaczycie, gdy nadejdzie wiosna, — mówił — to podobnie jak cała przyroda się odradza i ja się odrodzę.

Zażywał też cierpliwie wszelkie leki i poddawał się zabiegom nawet nie lekarskim.

Ciotka dowiedziała się o pewnym znachorze, cudotwórcy nieomal, który leczył chorych nie oglądając ich wcale. Wystarczyło mu obejrzenie moczu chorego a wnet stawiał diagnozę, dawał skuteczne środki i rady.

Ciotka zaniósł próbę moczu Feliksa. Znachor orzekł, że stan chorego jest, owszem, ciężki ale do wyleczenia. Zalecił, jako skuteczną kurację, okładać chorąmu kładkę piersiową płatami świeżej, niesolonej słoniny.

Feliksa odwiedziłem w czasie choroby raz tylko i to już na kilka dni przed zgonem. Od czasu aresztowania nie widziałem go wcale, gdy powrócił chory, sądziłem, że wizyta moja będzie go krepowała, że jako człowiek, który siedział w więzieniu, będzie się wstydział spojrzeć mi w oczy. Czuliem się po prostu w jego sytuacji i przeżywałem jego upokorzenie.

Wobec beznadziejnego — jak słyszałem — stanu zdrowia kuzyna, przemogłem skrupuły i zdobyłem się na te nie wczesne odwiedziny.

Chłodne światło zachodzącego słońca sączyło się przez szyby do pokoju.

Przy łóżku Feliksa siedziała jego żona. Chory leżał akurat z okładem słoniny, po którym — twierdził — zawsze czuł poprawę.

Na mój widok uśmiechnął się słabo i wysunął powoli rękę.

Poczułem jakiś bolesny uścisł w okolicy serca, nie poznawałem Feliksa.

Jakże niepodobny do tego mężczyzny, którego pamiętałem. Gdzie się podziała jego czarstwa i ogorzała twarz? Czy ten zarys czaszki, opięty bladło - żółta skóra, był kiedyś twarzą Feliksa? A głos? Przypomniało mi się, jak to dawniej, na pewnym weselu w naszej rodzinie, Feliks, podпиты już nieco, dźwięcznym barytonem deklamował, pobudzając wszystkie kobiety do tańca: „I wy mnie pytacie z pijanym hałasem, co znaczy ten rdzawy kindżał mój za pasem, co znaczy żem czarnym obwiałam się szalem, gdzie z dawną krwi krople zastężyli koralem...” (później, dla wzbudzenia weselszego nastroju, kuzyn demonstrował jak Żyd tańczy krakowiaka).

A teraz?

— Jak widzisz — powiedział chory tak cicho, że pochyliłem się w jego stronę, aby dobrze słyszeć — kuruję się, a co u ciebie, Julku?

Po śmierci i w czasie pogrzebu Feliksa, ciotka Teresa nie mniej rozpaczała od Stasi.

Wydawać się mogło, że po tej bolesnej stracie ciotka nie prędko „wróci do siebie” i „zbierze myśli”.

Mogło się tak wydawać, a jednak — zaraz po pogrzebie ciotka rozprawiła się ze synową.

— Wypaliłam tej małpie kilka słów prawdy — opowiadała później mojej matce — wymówiłam dom i zażądałam zwrotu pierścionka z brylantem.

Rok już minął od pogrzebu, a ciotka Teresa ilekroć nas odwiedzi — zawsze się rozczuła. Błyskając maleńkim brylantem pierścionka, przyklada chusteczkę do wiecznie zaczerwienionego nosa i zaczyna wspominać Feliksa.

Kończy się to zazwyczaj gniewnym pomstowaniem na „tą małpę”, Feliksa żonę.

Matka stara się przekonać ciotkę że zbyt surowo wyraża się o synowej, że napewno nie „ona” winna, że „tak się wszystko złożyło”.

A ciotka zawzięcie swoje:

— Nie, moja Helu, to tylko przez tą małpę.

Nie wtrącam się do tych rozmów. Nie cierpię ciotki Teresy, Milczę i przeżuwam mają antypatię, która zaczęła się równocześnie z historią Feliksa i wzrastała w miarę rozwoju wydarzeń.

O kilka lat starszy ode mnie kuzyn Feliks przyniósł z polsko - sowieckiej wojny\*) żołnierską beztroskość życia („dzisiaj tu, a jutro tam...”), to też, kiedy otrzymał swoją pierwszą i jednocześnie ostatnią posadę w urzędzie skarbowym, nie przywiązywał dużego znaczenia do pieniędzy, pozwolił się eksploatować rodzinie. Córki ciotki Teresy, Władka i Celia, mogły teraz urzeczywistnić marzenia o futrach, co — były pewne — podniosło ich walory jako „panien na wydaniu”.



Te inwestycje odzieżowe wyglądały z razu niegroźnie, wystarczyło coś nieco gotówki na początek i weksle, po tym stopniowo.

W tym pierwszym okresie harmonia w rodzinie Feliksa panowała idealna.

Pamiętam, kiedy ciotka przyszła do nas sprezentować nową suknię wizytową, nie mogła syna dość nachwalić, że taki dobry, że tak dba o rodzinę. I jakby dla ostatecznego potwierdzenia zaczęła drobiazgowo opisywać Władki futro „z łapek” i Celi „ze żrebaków”.

Ciotka, jak również jej córki, zgodnie przepowiadały, że Feliks przy swoich zaletach serca i umysłu „zrobi karierę”, rozumiały przez to, że się bogato ożeni.

Na razie nie pragnęły jeszcze tego, chciały go jaknajdłużej zatrzymać w domu.

Stało się odwrotnie.

Ach, co to było, kiedy w domu wuja Teodora dowiedziano się, że Feliks „chodzi z pensjonarką”. I to z kim?

Stasia była jeszcze wtedy uczennicą 8 klasy gimnazjum państwowego, a ojciec jej — woźnym magistratu.

Ciotka, a za nią córki, chcąc zupełnie zdeklasować i poniżyć Stasię mówiły: „córka takiego stróża”, albo wprost: „stróżowna”. Oczywiście cenzus szkolny Stasi, którym przewyższała Władkę i Celę (ubiły zaledwie po 5 czy 6 klas), nie miał dla tych kobiet żadnego znaczenia.

Feliks nie dał się jednak zasugerować i zakrzyczeć, myślał poważnie o małżeństwie „właśnie ze stróżowną”.

Wuj Teodor pod naciskiem kobiet wyraził sprzeciw, ale uczynił to za miękko, nie przekonywująco, wyczuwało się, że bliski jest załamania.

Nie oglądając się dłużej na tego „safandulę”, kobiety same zaczęły działać. Nie mogły dopuścić, żeby Feliks, syn urzędnika kolejek waskotorowych, popełnił „mezalians”.

\*) Mowa o roku 1920, (przyp. aut.).

# Wieś pragnie kultury

Józef Kapuściński

## Od sąsiedzkiej gawędy wieczornej — do książki

Ciągłe aktualna jest sprawa dostarczania wsi dobrej i taniej książki i gazety. Wieś jest największym konsumentem słowa drukowanego, ale tego słowa nie może się doprosić we właściwej formie i ilości. Jeżeli ktoś twierdził, że ludzie na wsi nie lubią książek lub że wieś przy swojej codziennej trosce nie potrzebuje potrawy duchowej, ten grubo się myli. Będąc małym chłopcem, pamiętam, jak w jesienne i zimowe wieczory schodzili się sąsiedzi, którzy nawet czytać i pisać często nie umieli, i całym wieczorem opowiadali sobie różne baśnie, wrażenia z podróży turmankami po sół do Drohobycza, po deski do dalekich tartaków w górach. To znowu wspomnienia z czasów pańszczyznianych, baśnie o różnych strachach we dworze, o czarownikach, o służbie wojskowej i t. p. Repertuar tych opowiadań był tak obfity, że jak zima i lesień długa, to na każdy wieczór była inna opowieść, inna pieśń, inne wspomnienia. Trzeba też przyznać, że pamięć u tych ludzi była fenomenalna. Gdyby wówczas ktoś mógł spisać te wszystkie opowiadania, to byłaby dziś naprawdę cenna książka ludowej ustnej tradycji.

W późniejszych czasach kiedy już ten i ów umiał czytać i zdobył się na kupno książki na jarmarku, a była nią „Proroctwa Sybilla”, „Powieść o zbójcach” i t. p., to znowu książka była czytana i komentowana w taki sposób, że podziwiać dzisiaj trzeba bujność wyobraźni tych ludzi.

W owych „Proroctwach Sybilla” były lapidarnie ujęte i przekrecone przepowiednie z niektórych rozdziałów z Apokalipsy św. Jana, ale wlepsy opowiadacze tak wyraźnie, tak obrazowo umieli je ująć i przed oczy przedstawić, że ostatnia wojna w całej swej groźbie była opowiedziana. Owczesnym ludziom ani się śniło o czołgach, bombowcach, krematoriach i obozach nowoczesnych i nawet uczelnie nie zdawali sobie z nich należytej sprawy, a jednak prosił ludzkie na wsi opowiadali, że będą takie kule do karabinów, co człowieka w kawałki rozedra, że będą płonieniem się palić, i padać tak gęsto jak grzech. To znowu opowiadano o takich smokach żelaznych, którymi szatan i ludzie, co im się do służby zapisał, jeździć będą, że nie im nie zaszkodzi, ani ogień ani woda i żadna kula ich się nie chwyci — mówili też, że ludzie tak się będą nienawidzić, że jeden drugiego będzie topił i palił w ogniu, a popiół na największej burzy rozsiewać po świecie będzie. Mówiono także, że w powietrzu będą latać takie potwory, że od ich huków uszy pękać będą, a one ogień na ziemię będą rozrzucać, że naród będzie szukał schronienia w wodzie, w lesie, w dziuplach drzew i pod ziemią. Ze ludzkie będą całymi masami, jak bydło na jarmarku pędzeni z mielsca na mielsca i członkowie jednej rodziny po całym świecie szukać się będą. Jednym słowem, czy to była intuicja człowieka oburającego z naturą, czy to była zhorowa zdolność przenikania przyszłości, dość na tym, że kiedy przypomniał sobie te zimowe wieczory z dzieciństwa, opowieści straszne, że nie raz się we śnie zrywałem od tych okropności, to widzę, że to, co dzisiaj przeżywamy, już wszystko nasi pradziadkowie i dziadkowie dokładnie sobie tylko na swój styl i sposób opowiedzieli. Kto żył w takiej atmosferze wsi, w której ów dach sąsiedzki, ów kunszt gawędziarski był szeroko rozwinięty, ten przyzna mi zupełną rację.

Jaki z tego praktyczny wniosek? Oto taki, że wieś lubi czytać pamiętniki, powieści historyczne, nowele z życia wsi, wiersze, albo niedługie poematy, opowiadania wojenne, powieści takie, jak Kraszewskiego, Sienkiewicza i innych. Już teraz spotkałem się z człowiekiem wsi, który w rozmowie na temat książki i wojny obecnej tak się wyraził: „Żeby to teraz tak tę wojnę opisać, jak Sienkiewicz dawne opisał, to byłoby co czytać”. Wieś laknie dobrej książki i dużo nawet, ale żeby cena tej książki nie była odstraszała. Jakże to zapłacić parę setek za książkę i raz tylko ją przeczytać?

Trzeba kupić kilkanaście książek na jedną zimę, czyli wydać parę tysięcy. To już wydatek duży. Potrzeba więc we wsi biblioteki, w którejby było przynajmniej kilkaset książek. Kto ma się tym zająć? I tu znowu jedna odpowiedź — organizacja wiejska. Ale ja wiem, że dużo jest ludzi na wsi, którzy za punkt honoru swego uważają to, aby mieć w domu własne książki i to dosyć — tylko niech te książki będą tanie. Dobrą ciekawą książkę wieś szanuje i w gazetę oprawia. Oprócz książek stałym gościem wsi był i jest zawsze kalendarz: kalendarz ma być uniwersalny, żeby w nim były i opowiadania i humor i rady praktyczne i o pogodzie i to wszystko, co wieś na każdy dzień szuka. Prawie każdy z gospodarzy na jarmarku przedzimowym obok kupna beczki, koźucha i innych statków domowych, kupował kalendarz. Im wcześniej był wydany kalendarz,

tym więcej mógł liczyć na zbyt. Dzisiaj ten moment nie jest brany w rachubę i dlatego nie mamy ani dobrych kalendarzy, ani też szerokiego zastosowania.

Szkoda, że redakcja „Wsi” i „Chłopów” nie opracowała kalendarza dla wsi na rok 1947. Gdyby taki kalendarz był już w sprzedaży, to milion jego egzemplarzy byłoby się napewno rozszło. Pamiętam, że w domu ojca kapłony już na Wszystkich Świętych kalendarz był czytany na takich wieczorach prawie do świąt Bożego Narodzenia, to tak od początku do końca i dyskutowany na swój sposób przez obecnych.

Dzisiejsze wydawnictwa nie liczą się ze wsią tak, żeby wieś zdobyła dla siebie zupełnie i dlatego też wieś szuka odpowiednich dla siebie książek, pism i kupuje często najmniej jej odpowiadające. Aby mieć materiał na wydawanie pism, czy książek dla wsi, należałoby ogłosić niedługo, ale kilka konkursów na pamiętniki z tej wojny, na opisy przeżyć całej wsi, byłoby to materiałem dla przyszłego historyka, czy ludowca nieoceniony, a dla wsi lekturna pierwszorzędna.

Lucjan Malicki

## Najważniejszy problem

Jesteśmy świadkami epoki, gdy na arenę wstąpiły narody słowiańskie, idea demokratyczna objęła te państwa, hasła bojowców z przed wieków wchodzi w życie. Realizacja ta winna pociągnąć cały lud, a jednak tak nie jest. Człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, co wokół niego się dzieje. Takim biłem, które nam zakrywa oczy, jest lekceważenie oświaty, które też nie zrodziło się wśród chłopów, bowiem i szlachta przed wiekami nie dozwalała uczyć się młodzieży, uważając to za szubne. Tak też jest i u nas na wsi, że często ta pozostałość dawnej szlachetczyzny zaprzęta nam głowę i bezmyślnie, sami nie umiejąc, innym odradzamy, aby się nie uczyli, „bo to chleba nie da”.

O! co tak prawda, bardzo często są uczywni ludźmi, pracowitymi gospodarzami, dobrze wychowanymi swoimi dziećmi, nie wiedzą, jak wielką krzywdę czynią swym dzieciom, państwu, a nawet sobie samym. Ci zazwyczaj biedniejsi umierają, niżeli na świat przyszli. Żył oszczędnie, odmawiając sobie niezbędniejszych rzeczy w życiu. A o gazecie i książce, to już i mowy nie ma. Są wsi, w których nie ma żadnego życia, które jakoby odłączone od Polski i świata, mało czują i mało myślą i nawet nie narzekają, choć bieda wszystkim otworami do chałupa wpada, a przyszłowiowym jest powiedzonko u tych na pytanie, — co słychać — odnowie — „stara bieda”.

Jedni wstydzą się fałszywie przyznać, iż tak jest, inni zakrywają to przed oczyma społeczeństwa, a jeszcze inni nie znają prawdziwej niedzy wiejskiej, prawdziwej biedoty. Ta jest spowodowana brakiem oświaty, o której tyle się mówi w prasie, na konferencjach różnych, wiecach i t. p. Wprawdzie rząd poczynił starania ku temu, organizacje polityczne, samorządowe i młodzieżowe robią, co mogą, a w wielu wsiach jak było ciemno, tak nadal pozostaje.

Andrzej Braun

## GODZINA ŻŁUDY

Dni były pełne światła,  
na buczeniu bąków kołysał się świat,  
maki migotały garączką  
suchych oczu, wysadzonych przez głód.  
Szare gonty, opuchłe mchem  
utonąły w powodzi chmielu;  
koronkowo rozpięte dachy —  
żarem drewna zadrgały chmury.  
Brdny dach śmierzdzących szmat —  
jednak mundur. Jakże to wiele.  
Dwa granaty z ciepłutkiej blachy.  
Senność złudna bezsensnych lat.  
Na zapyłonej drodze  
śledziłem, jak święta figura.  
Nic nie wznosiło tu pyłu,  
tą drogą nie jeździł już nikt.  
Za widnokretem we mgłach  
biegały sfuki wystrzałów.  
Rzeczne kłamstwa legendy...  
a lato zwykle, pachnące.  
Dzień tak wąski, jak złota brew,  
tkwiące w ustach tyśiączne słowa  
niepotrzebne: Nie miałem co jeść —  
tylko w ręku nabrzmiała pepesza.

Jan Marszałek

## O właściwe metody

Jak wieś przyjęła dekret o obowiązku szkolnym

Maksymalne upowszechnienie oświaty w państwie, a więc i upowszechnienie oświaty na wsi to nie tylko postulat kulturalny, którego szlachetność nigdzie się nie śmie negować, ale i konieczność społeczno - gospodarcza. W zakresie gospodarczym ma ona dwa aspekty: w stosunku do obywatela i w stosunku do Państwa. Państwu winna dać szkoła obywatela wykształconego ogólnie, zdolnego do wykonywania najrozmaitszych zadań o charakterze zawodowym czy administracyjnym, zadań takich mnóstwo powstało w związku z nową sytuacją polityczno - społeczną Państwa.

Zaś obywatelowi winna ona umożliwić awans społeczny, równocześnie zapewnić opłacalność nauki przez zapewnienie awansu gospodarczego. Brak widoków na opłacalność nauki przyczynił się do tego, że spory odłam społeczeństwa wiejskiego nie docenił należyte konieczności nauki. Wszystko cośmy powiedzieli o podniesieniu intelektualnym wsi w stosunku do poziomu z przed pierwszej wojny światowej, to tylko drobny odcinek

pracy oświatowej o bardzo elementarnym zasięgu.

Dzisiaj, kiedy życie wymaga od chłopca nie tylko umiejętności czytania i pisania na poziomie drugiej klasy szkoły powszechnej, ale i wiadomości z zakresu fizyki czy mechaniki (maszyny rolnicze) jak i najogólniejszych wiadomości z dziedziny prawnopolitycznej w związku z reformami społeczno - ustrojowymi — chłopca wykształcenie elementarne już nie wystarczy. Trzeba mu zapewnić przynajmniej ośmioletnią szkołę powszechną.

Kwestię upowszechnienia oświaty można jednak załatwić w dwojaki sposób. Zle i dobrze. Urzędowo — według narzuconego społeczeństwu okólnika czy rozporządzenia ministerialnego i w sposób życiowy — liczący się ze stroną materialną zagadnienia.

Przykładem urzędowego, papierowego załatwienia tej sprawy było rozporządzenie Naczelnika Państwa o obowiązku szkolnym. Rozporządzenie wyszło, a społeczeństwo ustosunkowało się do niego tak jakby się ustosunkowało do jakiegoś uciążliwego podatku.

Antor, czy autorzy tego rozporządzenia zupełnie niedocenił momentu psychologicznego tego zagadnienia — przymusu. Nic więc dziwnego, że byliśmy świadkami tak szkodliwego, zarówno z punktu widzenia gospodarczego jak i kulturalnego, zjawiska wtórnego analfabetyzmu. Poza tym sam fakt przymusu szkolnego utrudniał mimo woli pracę nauczycielowi, który musiał nieraz tolerować wśród uczniów element demoralizujący resztę klasy z tej tylko przyczyny, że dekret o obowiązku szkolnym odnosił się zarówno do dzieci chętnych jak i niechętnych nauce. Obowiązek był obowiązkiem tak jak np. przymusowe szeregienie osy i dlatego też przysłał urzędowym cieniem dobroczynne skutki nauki.

Mówił mi jeden z nauczycieli, że przed wojną najczęściej nauczyciel dostawał coś od chłopca nie za to, żeby mu lepiej przypomniał dziecko w nauce, ale żeby nie na kilka dni uwolnił od nauki do roboty w gospodarstwie. Tymczasem przyszła wojna ze wszystkimi barbarzyństwami okupacyjnej „kultury”, która albo do minimum ograniczyła prawo polskiego dziecka do nauki, jak to było w t. zw. G. G. albo też zniósła całkowicie nauczanie w okęgach włączonych do Rzeszy. Ten zakaz nauczania wydany przez okupanta stał się najcięższym argumentem propagandy oświatowej.

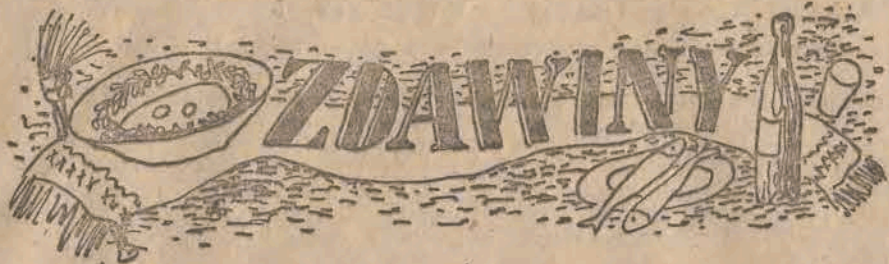
I dziś nie potrzeba nikogo na wsi przypominać do wypełnienia obowiązku szkolnego. Szkoły na wsi są przepelnione. Chłopi ze wsi, w których szkoły ze względu na brak sił nauczycielskich nie zostały dotychczas uruchomione, bez ustanku bombardują inspektoraty szkolne podaniami o przysłanie choćby jednego nauczyciela, byle ich dzieci mogły „wyjść na ludzi”.

Z tego pragnienia „wyjścia na ludzi” przebija wyraźnie wiara w możliwość awansu społecznego chłopca przez naukę. Niechże ta wiara nie zostanie zachwiana, a możemy być pewni, że jeżeli tylko dość będzie sił nauczycielskich, to ideał oświaty powszechnej zostanie całkowicie zrealizowany. Możliwość awansu gospodarczego i społecznego bardziej przemówi do trzeźwego rozumu chłopca niż poparty najbardziej bezwzględny sankcjonami karnymi dekret ministerialny. Dlatego też droga do urzeczywistnienia postulatów oświaty powszechnej wiedzie nie przez rządowe rozporządzenia o przymusie szkolnym, ale przez ułożenie takich stosunków w Państwie, by ludzie z cenzurem naukowym mieli zapewnioną opłacalność swoich trudów.

Państwo zaś będzie miało wtedy również całkiem realną korzyść z osiągniętych wyników. Bo pomijając zaoszczędzenie wydatków związanych z likwidowaniem wtórnego analfabetyzmu — wykształci odpowiednio liczne kadry fachowców we wszystkich dziedzinach, a tym samym przyspieszy nie tylko odbudowę ale i rozbudowę we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Nie od dziś to bowiem wiadomo, że wykształconemu i krowa więcej mleka daje. Wieś zaś przez osiągnięcie postulatów oświaty powszechnej, zapewni sobie należyte jej szacunek wśród reszty społeczeństwa. Wszyscy zaś, którzy przez utrzymanie chłopca w ciemnocie liczyli na odbudowę swych jaśnie wielmożnych praw i przywilejów, będą musieli swoje marzenia schować do lamusa. Bo chłop ze szkołą z zajętych raz pozycji usunąć się nie da.

Władysław Marcinkowski

Ilustr. A. Strumiłło



„Hej zdawiny!... W sobotę bydom zdarwiny!... — Rozległo się znowu po całej wsi.

Kobiety szeptały sobie zazdrośnie, dziewczęta jęzgotyły wesoło i niby życzliwie przypochlebiali się młodej żenićce. Chłopaki już z samej ochoty sobie przytupywali, a chłopcy szykowali gardzielce, czując w powietrzu zapach gorzeli... A nawet i dzieciarnia rozkrzyczała się radośnie. Nie dziwnego, przecież zdawiny nie co sobotę się zdarzały.

Właśnie w tydzień po Tomkowym powrocie z wojska, niespodzianie zdarzyły się zdawiny.

Ludziska mieli się z czego cieszyć tym bardziej, że to ich tak nagle zaskoczyło. Do tu raptem gruchnęła wieść, że do Hanka Zajęców zaszedł w rąbki Stachu Kurek — znany na całą okolicę toniecznik — z Dużej Kolidy. Że to Zajęcowie niezgorzej się mieli, a Hanka była ich pierwszą córką na wydaniu, toteż tak wesoło jak i zdawiny, zapowiadały się dość hucznie.

I odbyła się ta uroczystość, według wszelkich prawideł, tj. w sobotę przed pierwszą zarowiedzią, a już z taką wysadą, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali.

Już od samego południa wszystkie kobiety zabrały się tak do roboty, że jeszcze przed zachodem słońca, miały wszystko do biesiady gotowe.

Zanim pierwsi goście zaczęli się schodzić, już na ponakrywanych białym płótnem stołach, piętrzyły się na kamiennych miskach całe stosy pyłowego chleba z masłem, a z białych salatek z gęstej, na kwaśno zaprawionej śmietany, wychylały swe ciemne bokaj całe masy tłustych wycoczonych i gustownie oprawionych śledzi. Ale tak wszystko jedynym pieprzem i złotawym bobkowym liściem doprawione, a talarkami cebuli ozdobione, że jeno brać i jeść.

Na pierwszym miejscu, tuż obok Państwa Młodych, gdzie zasiadł wódz ze swoją żoną — sama wódzarka miała Hankę czepić — podano biały, w różnorakie wzory pomalowane talerze, reszta zaś, to jest młodzi, mieli ucztować, wprost ze salatek.

W izbie wzrastał coraz większy tłok i rozgwar, a tu coraz nowi goście nadchodzili. Jednak, że to Kij, który nieomal zjadł swoje zęby na dróżkowaniu, nad wszystkim czuwał, umiał i dźłał sobie poradzić. Dla każdego gościa już miał miejsce upatrzone, wiedział gdzie i kogo bez uchybienia godności i starszeństwa usadzić.

Zdawiny były jakby samą przygrywką do wesela. Znajęcy się na tem ludzie już podług zaprawianych miejsc, dokładnie wie-

dziali, którzy i jakie stanowiska na weselu będą zajmować. Która kobieta Młodą Pannę oczepli, które jej przy tym obrzędzie będą asystowały... a tak samo i z młodzieżą. Jeno z dziewczuchami to było trochę speriłki, a nawet sam Kij znalazł się w niemałym ambarasie.

Zajęcowo koniecznie chciała, aby Nastka była Hance do prawego boku co znowu z władomych powodów było Kijowi nie na rękę. Według swego planu, to chciał tak urządzić, aby Jagna z Tomkiem była do prawego, a Stachu i Nastka, do lewego boku. Lecz Zajęcowo, która w ostatnim czasie miała dość własnego kłopotu, o jego zamysłach nie wiedziała, uparła się koniecznie na swoim.

— Nastka — powiada — była zawdy jej — niby Hanka — najlepszym przyjaciółkom i ona musi być do prawego. — Ale mówiąc to, nieśmiała prawdy wyznać. Chodziło jej zapewne o to, że Jagna była jej za biedna. Kij próbował wyperswadować jak umiał, lecz kobieta uparła się i tyle. Dopiero powaga wódzarka dokonała tego, że się po Kijowej woli stało. Doświadczony starzec w lot poznał, o co się pysznej kobiecie rozchodzi, więc starał się, tym więcej rozburzyć w niej miłość własną, a tak jej umiał ładnie do serca przemówić, że kobieta się wnet na wszystko zgodziła.

— Widział — powiada — że takiej dziewczę jak Jagna, co to nimo ani matki ani ojca jeno jest sama jak ten kotek w płocie, nie można tego jej sieroctwa dać odczuwać. — A że mówił jej na „ty” to nić dziwnego bo tak ona jak i nieomal połowa całej wsi, byli to jej chrześniacy. Kobieta aż łzy w oczach stanęły z rozczulenia, a starszy jeno poprawił kapelusz i perswadował dalej.

— Czy to nie bydzie dla ciebie honor jak ludzie przed kościołem zobaczą wesele i się zadziwią — przecie ludziom to wszystko popadnie. Patrzą, bedom mówili, jak to ładnie, że tako bogaty Zajęcowo a takim biednym sierotom nie pogardziła, jeno ją wybrała na starszą druhnę!...

Kobieta już się nie sprzeciwiała, jeno podniosła fartuch do oczów i — pocałowała starego w rękę.

Ha, no — szepnęła — boć wasz rozum jest inakszy jak mój...

Kij tak mówicie, to niech już bydzie.

Przyjemny zapach jałowcu, którym wykadzono izbę, zmieszany z kwasowatym zapachem świeżego chleba i ostrych przypraw, już wszystkich podniecił. A, kiedy zaczęto na stoły stawiać sturowe flachy wódki, wina, likierów, to chłopcy z uciechy aż nosami pociągali.

Na dany przez Kija znak, wszystko uclchio. On zaś uroczyste stanął pomiędzy stolami przeżegnał dary Boże, wypowiedział śliczną orację.

Najprzód przemówił do obu Państwa Młodych, do Panów Ojców, Panów Matek, potem do wszystkich, a nawet do tych siedzi, co z pobladłymi oczyma z misek wyglądali, nie pominął.

Kiedy wziął kropidło i święconą wodę, pokropił srebrne pierścionki, co na białym

Najprzód jednak poszły w ruch kieliszki i zaczęły krążyć dookoła. Roześmiały się wszystkie gęby, zakurzyły się czupryny... Zaspiewały wesoło kobiety.

— Oj... już nasza! Draj się i klaskają w ręce

— Hej... jeszcze nasza! Odkrzykują hurmem dziewczyny. — A chłopaki już na dobre palaszają łyżkami po miskach i trząskają w podkówki aż miło. Każdy chłop, kiedy spory kielich wygruchnie, eplunie sobie przyzwicie pod stół, to odchrząknie ze smakiem i kielich podaje dalej.

— Boże Ci dej zdrowie, Michale!...

— Pij z Bogiem Kuba!

— Na zdrowie wam, Koziele, pićcie z Panem Jezusem! — i drżącą ręką po kieliszek sięga.

— Dej wam Boże zdrowie wudarczyczku! — Gustujel! — odparł krótko, bo chociaż kieliszkiem nie gardził, to jako przykładowy człowiek, nie lubił, wzywać imienia Pana Boga na deremno...

...A zabawa, już się na dobre rozkołysała. Wśród wybuchów śmiechu i radosnych okrzyków i piosenek, słychać głośnie chrupanie śledziowych chrząstek. Wszystko

rozradowane, bawi się aż miło, a wszystko po swojemu, po kujawsku, po więksku...

Już rozwinął swoje skrzydła jeden, zgodny, beztrocki zgiełk i ten tak nastrojowo do chłopkiej duszy przemawiający hałas, co to każe ludziom zapominać o wszystkich troskach i zgrzyotach codziennego życia. — Ten nastroj powabny, ten miły kujawski śpiew, ta chłopka ochota porwały za sobą wszystkich, młodych i starych, tak chłopów i chłopaków, jak i kobiety i dziewczęta.

A nawet ten tak zawsze poważny wódz, nie dał się w uciesze wyprzedzić. Brzęka sobie łyżką po talerzu i w takt muzyki cicho podśpiewuje:

Hej dziś dzis, a nie jutro,

Bo dzis wesoło jutro smutno,

Dzisiaj trzeba swiata użyć,

Jutro znowu panu służyć...

A dający na wszystkim baczenie stary Kij, z białym ręcznikiem pod pachą, cały spocny, jak tur czerwony, chodził pomiędzy stolami i uważał...

Mieczysław Dereżyński

## O Władysławie Marcinkowskim

Z ziemi rodzinnej Jana Kasprowicza i Stanisława Przybyszewskiego wywodzi się spora gromada pisarzy ludowych, których nazwiska bądź żyją w tradycji, bądź dopiero docierają do świadomości opinii literackiej.

Niezaprzeczona są zasługi tych pisarzy spod strzechy kujawskiej, którzy — pochodząc z ludu — dla ludu tworzyli w okresie, poprzedzającym pierwszą wojnę światową. Do rzędu tych skromnych, dziś już nie żyjących, a często zapomnianych pisarzy chłopskich należą: nauczyciel, redaktor i autor broszur popularnych Michał Łukowski z Chrostowa, trzech dziennikarza, chlubnie zapisałi w dziełach prasy śląskiej i pomorskiej — Józef Siemianowski z Szarleja, Bronisław Koraszewski z Kijowic i Józef Ulatowski z Suków, wreszcie autor broszur politycznych dla ludu i uczestnik komuny paryskiej, dziennikarz radykalny — Marcell Kujawa-Polczyński spod Palkości oraz organista i rymopis Antoni Pluta.

Do samorodnych talentów współczesnej wsi kujawskiej zaliczyć trzeba poetę i nowelistę Franciszka Bećniańskiego z Pilichowa, poetkę i autorkę opowiadań sielskich Jadżkę z Kujaw (Celinę Lewandowską z Ciecchrza) oraz Władysława Marcinkowskiego z pod Inowrocławia.

Marcinkowski, choć w młodości samouk z czworaków folwarcznych, dał się poznać jako autor kapitalnych gawęd kujawskich, których walor stanowi przede wszystkim autentyczny folklorystyczny i gwarowy.

Wł. Marcinkowski urodził się 1874 roku jako syn wódzarki w powiecie inowrocławskim. Ojciec jego siedział długie lata w Węgierskich, następnie w Janikowie, gdzie zmarł w 1913 r., przeżywszy lat 89.

Przyszły pisarz ludowy dzieciństwo miał niewesołe a przeżywał je pod hasłem niedawnych wydarzeń. Powstanie 1893 r. i „Kosijerka 1848 r.” — były to tematy, które się często o uszy jego obijały i docierały do dna duszy rozmarzonego, wrażliwego chłopca.

Do szkoły uczęszczał Marcinkowski w Ostrowie pod Palkością. Z rodzinnych Węgierek trzeba było w spiekotę, silną zadymkę lub mroz codziennie przebyć spory szmat (około 5 km), co ze względu na chleractwo ucznia ujemnie wpływało na jego konstrukcję fizyczną. Podręcznikiem do nauki w szkole był zwyczajny elementarz, a w wyższych oddziałach „Przyjacieł Dzieci”, coś w rodzaju naszych dzisiejszych czytanek. Z tym „Przyjacielem” Władek, zaprzyjaźnił się na dobre.

W roku 1894 ojciec jego przeniósł się do Janikowa. Majątek ten, leżący w bliskości stacji kolejowej na linii Poznań — Warszawa, nieczym nie przypominał odludzia. Wielu podróżnych wysiadało tutaj, a nieraz spóźnioną porą, nie mogąc w dalszą udać się drogą, przychodziło do jego rodziców na nocleg. Byli to przeważnie rzemieślnicy i oficjaliści dworscy. Rzecz jasna, że nie obyło się bez rozmów na aktualne tematy polityczne.

Przychodził dość często: zebracy o kulach, inwalidzi z powstania 1893, 48 roku, a stałym gościem był stary Marcin, kapral W. P. z roku 1831 \*) oraz żyłasty chłop Kij \*\*) w wysokim kapeluszu i szerokiej opończy, stary weteran powstań.

Po ukończeniu szkoły w czterdziestym roku życia poszedł Marcinkowski na zaciąg. Była z tego znaczna radość w domu, gdyż nie potrzebowano wynajmować obcego parobka. Niestety, na tym zaciągu słabowity wyrostek nie wiele zdziałał. Więcej obchodziły go książki i interesował bohaterzy powieściowców niż robota. A przy tym chłopak był hardy czy to wobec urzędnika, czy nawet dziedzica i nie pozwalał uchybiać swej godności osobistej. Ojciec jego miał z tego powodu różne nieprzy-

\*) Starego Marcina uwiecznił w noweli „Wirtuti Militari” — „Piast” dod. do „Dzienia Kujawskiego”.

\*\*) W kilku opowiadaniach przedstawił tę postać pod przezwiskiem Starego Kija.



działa, którzy i jakie stanowiska na weselu będą zajmować. Która kobieta Młodą Pannę oczepli, które jej przy tym obrzędzie będą asystowały... a tak samo i z młodzieżą. Jeno z dziewczuchami to było trochę speriłki, a nawet sam Kij znalazł się w niemałym ambarasie.

Zajęcowo koniecznie chciała, aby Nastka była Hance do prawego boku co znowu z władomych powodów było Kijowi nie na rękę. Według swego planu, to chciał tak urządzić, aby Jagna z Tomkiem była do prawego, a Stachu i Nastka, do lewego boku. Lecz Zajęcowo, która w ostatnim czasie miała dość własnego kłopotu, o jego zamysłach nie wiedziała, uparła się koniecznie na swoim.

falerzu wśród mirtowego wianuszka leżały, to wszystkim kobietom aż łzy w oczach stanęły.

A Hance to się już jak groch po sznurówce kulały. Wprawdzie później dziewczęta sobie opowiadały, że ona trzymała pod stołem rozkrojoną cebulę i te ukradkiem do oczu przytykała... Jednak co do tego, to tam pewnością nie było...

Wódz z namaszczaniem, włożył obu młodem pierścionki na serdeczne palce, a dopiero potem Kij, zachęcił wszystkich do jada.

„Zaświęgotliły skrzypce, zahuczały basy, i zaszczekotały blaszane łyżki.

# Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś? \*)

**JÓZEF SABURA (Gdynia):**

Odpowiedź naprawdę trudna, jeśli się zważy różnorodność typu człowieka wsi, porównawszy od urodzonych intelektualistów, czy smakoszy słowa pisanego, skończywszy na tych, którym czasem książka przypadkowo wpadnie w rękę. Mamy miejscami czytelników wybrednych, odrzucających wszelką tandetę i czytelników sensacji, kalendarzy, i piosenek religijnych. Mamy różne dzielnice Polski, objawiające większą lub mniejszą szkołę do czytania. Pierwsze będą okolice zamknięte, posiadające gestą sieć komunikacyjną połączone ze światem tą siecią i okolice zapadłe.

Jedno jest pewne, wieś potrzebuje powieści wielkiej. Powieści na miarę „Trylogii” Sienkiewicza, powieści traktującej o wsi, o człowieku wsi i ziemi. Wieś człowiek wsi i ziemia to jedno. Jak nie można pomyśleć o wsi, która nie uprawia ziemi, tak ziemia nie uprawiana przez człowieka wsi nie będzie ziemią. Będzie interesem, jak to jest w Ameryce. Jeżeli człowiek wsi ucieka do miasta, to tylko z tego powodu, że za swoją pracę ma lepsze wynagrodzenie, ale po poznaniu stosunków w mieście czy fabryce chętnie wróciłby i wzdycha do ziemi do ostatka. Słyszałem chłopaków czy dziewczęta mówiących, że oni nie chcą takiej lekkiej roboty, wolą pracę w polu, choć cięższą. Ona daje zdrowie, wolny umysł, prosty i szczerzy. Ziemia uczy sprawiedliwości. Pracując na niej poznaje się wartość i smak zapracowanego czarnego chleba.

W tym miejscu przychodzi mi na myśl Knuta Hamsuna „Błogosławieństwo ziemi” i powieść z terenu Chin: „Błogosławiona ziemia” (Buck). Tylko, że nasza powieść o wsi musi obejmować szersze zagadnienia i różnorodność.

Powieść dla wsi musi być wielka, pisana sercem, przez człowieka, który ukochał wieś i wszystko, co w niej dobre, poświęcił się cała dla jej dobra. Człowiek ten to urodzony na wsi, który widział każdą rzecz, każdy kąt spraw wsi, w którym działa się dobrze i źle; który cierpiał wraz z ludźmi niedostatek... Może to jakiś znajda czy pastuch biegający za krowami, a może spakował już węzelek i poszedł do miasta po naukę.

Wieś do niedawna kopcuszek, zepchnięty do tej roli dlatego, że silnym była taką potrzebna, a nie dlatego by z urodzenia była kopcuszką. Ten kopcuszek potrafi jednak przystroić się w królewską szatę. Najgorsze jednak przeszło. Na wieś przyszedł czas, zrozumiałe dlaczego była kopcuszką, a teraz ledwo zaprzęgnięta, przestała nim być.

Noc trwała do 1945 roku. Skończyła się. Nie w manifestach, odezwach, ale naprawdę, w rzeczywistości i niesie ze sobą równość i braterstwo.

Ludzie, co wyszli spod gruzów zwałonego domu, czy gnębione ciężarem i utkwione w ziemi podnieśli w górę, strzępnęli lachmany, co skrywały ich ciała. Zabierają się do roboty do usuwania gruzów. Gruz niepotrzebny wyrówna doły. Na tem miejscu postawimy gmach na nowych fundamentach, jakiego przed tym nie było. Ale nie wszystko między gruzami jest do wyrzucenia.

Tworząc przyszłość nie możemy odrzucić przeszłości tego wszystkiego, co powstało w tamtych czasach, co stworzyło naszą historię. Byłoby to nieroztropne trwonienie doświadczeń wartości i pamiętek, gromadzonych z takim trudem do dzisiejszego dnia. Tymi klejnotami musimy się opiekować i wskazywać potomności na wartości ich. Te, które są nam drogą nasze, do których czujemy jakiejś przyciąganie, braterstwo, rzetelność jakąś na ich widok lub wspomnienie. Nawet z tych, które były złe, szkodliwe musimy korzystać — służą jako nauka na przyszłość.

Piszę w dalszym ciągu powieść, dałbym jej trzy części.

Część pierwsza: Tradycja wiejska i historia wsi od jej najwcześniejszych początków z uwzględnieniem opisów czy szczegółów, które spotykamy jeszcze dziś. Jakimi drogami dochodzi wieś do podniesienia, jakie trudności ma. Historia wszystkich procesów, jakie się w niej rozgrywają. Każda wieś w podaniu ustnym może nawet w zapiskach ma swoje początki. Historię tę ma jedna wieś bogatsza, druga mniej bogata. Każdy jednak mieszkaniec swej wsi, kocha swoją wieś za to własną, jaką ma, bo to jest jego wieś. W każdej wsi mamy rody, które były jakby jej patriarchami, czują się jakby wodzami gromady — mają swój honor, swoje czyny którymi się chlubią, które znają z tradycji. Ta historia wsi to jedno kółeczko w historii Polski. Ile tych wsi, tyle tych kółeczek, jedne za drugie zająbiają się tworząc historię Polski. Niektóre wsi sięgają swymi początkami czasów przedhistorycznych, jak na to wskazują zapiski. Chciałbym mieć obraz takiej wsi, przypuścimy z tamtych dawnych czasów, czy średniowiecznych. Jaki był ustrój takiej wsi, jak się rządziła, zwyczaje, obyczaje, strój. Może wieś miała jakąś tradycję. Czemuś się odznaczała, jakiś przywilej. Jakimi oczami patrzyła wieś na dwór, gród. Zatrudnienie w każdej porze roku dnia, a potem, jeśli idzie o wieś późniejszą. Jak reagowała na wystą-

wienie ludzi, których los ją obchodził, co myślała o tym, jak się ustosunkowywała. Potem przychodzi okres Kościuszki, potem powstania, „wiosna ludów”. Pierwsi działacze wiejscy, pierwsze pisma. To znaczy, jak to wszystko wyglądało w okresie wsi pańszczyźnianej, potem w okresie pierwszych jaskółek zwiastujących nową erę dla wsi.

Część druga: Na wieś docierają pisma, coraz więcej jednostek zainteresowanych w ruchu chłopskim. Pojawiają się pierwsi pisarze wiejscy, samoucy. Potem wieś w wojnie światowej i jaki ona miała wpływ na wieś. A po wojnie przedstawiłbym wieś na tle stosunków po wojnie światowej. Rozwój spółdzielczości, bibliotek, związków młodzieżowych. Ich wpływów na życie wsi, Rolnictwo. Jego rozwój i porównanie do czasów przedwojennych. Hodowla. Zdrowotność (higiena). A potem wieś w czasie okupacji. Działalność konspiracyjna.

Część trzecia: Ta część ewentualnie może mieć początek w pierwszych dniach okupacji, historia wsi okupowanej. Potem 1945 rok, wolność, zasadnicze przemiany w ustroju wsi, parcelacja i jej drogi na przyszłość jaśniejszą. Plany. Od samego początku wprowadzenia w akcję osoby przodownicze wsi i różne.

Do opowieści wplecione są miejscowe podania, legendy, zwyczaje i tyle innych momentów, wesele, chrzciny, pogrzeb, strój tańce, gwara, śpiew, muzyka, takie momenty jak: orka, sianokosy, żniwa, kopanie ziemniaków — musi być wieś kwitnąca znojem, dojrziała latem i syta jesienią, wieś śpiąca zimą, budzona skrzypem studzien, pianiem kogutów, żyjąca w dzień pracą codzienną, spędzająca wieczór w izbie na opowieści, przednie lnu, wełny, skubaniu pierza. Wieś patrząca na świat i sprawy otaczające ją oczami dziecka, parobczaka, dojrzającego i starca. Wieś stojąca się w odpust do kościoła, idąca w kompanii na Kalwarię, do Częstochowy. Wieś mówiąca dźwiękiem dzwonów rezurekcyjnych i kołatkami wielkiego postu — wieś krocząca w procesji Bożego Ciała i wieś zaścieniająca stół sianem, idąca na pasterkę, śpiewająca kolegi. W powieści musi być to wszystko, co składa się na życie wsi. A więc i wieś wyrwywająca się za swoje granice z ciekawości, za chlebem na emigrację.

To byłaby powieść o wsi napisana z sercem i odczuciem człowieka przyrody i tego wszystkiego, co stworzyło wieś i człowieka wsi.

Piszę o powieści dla wsi nie mogę pominąć milczeniem „Młodego pokolenia chłopów” Józefa Chalasińskiego. W chwili gdy czytałem je pierwszy raz, zdawało mi się, że czytam najpiękniejszą powieść. Częściowo może dlatego, że ja sam byłem w niej zainteresowany, czułem się niby drobnym współtwórcą — cegiełką w jej budowie. Ale tylko częściowo. Inna jest przyczyna, że czytałem ją z zapartym tchem. Bo czuję, że każdego człowieka czytającego tę książkę uderzy wielka żywotność i siła młodego pokolenia, pozątem prostota, szczerłość, prawda... Tem większa, że nie pisana uczenie, ale prosto, nie pozbawiona jednak myśli głębokiej i wnikliwej, radzenia sobie z rozwiązywaniem najtrudniejszych spraw.

Wiem, że „Młode pokolenie” nie może zaspokoić wszystkich pragnień. Niektóre fragmenty w życiorysach postarzą się prawie w każdym, te same. Z tego powodu po przeczytaniu kilkunastu dla mało cierpliwego, książka ta wydaje się nudna. Dla szarego człowieka za uczona. Jednak wzorując się na „Młodym pokoleniu” myślę o powieści, której autorem jest wielu ludzi — powieści składającej się z niezliczonej ilości fragmentów czy opowiadania, niby drobnych, poruszających ważne problemy. Niby odrębne, ale gdy będzie ich wielka ilość dadzą nam obraz życia. I to obraz prawdziwy, taki jaki jest prosty bez osłonek, bez upiększeń, bez złudzeń, choć z dodatkami fantazji zdrowej czy humoru. Obraz życia będzie bogaty w szczegóły, widziany z dołu, z góry... z różnych wysokości, oczyma ludzi stojących na różnych stopniach cywilizacji. Będziemy tu mieć kąt patrzenia dziecka, starszego i starca — prostego i uczonego. Niech w nią włożą swój wkład prości, uczeni, mali, średni i wielcy.

Wieś nie lubi zasklepić się w sobie, zwłaszcza ta nowa. Jak różnorodne są czynniki rolnika, tak różnorodny jest świat jego zainteresowań. Chce wiedzieć wszystko, co się dzieje na świecie dziś, co się dawniej działo u nas i zagranicą. Chce znać dzieje starożytności.

Chcę także powieści obyczajowej z czasów historycznych naszego państwa, coś w rodzaju powieści opisującej życie mieszczan (Krzyśko Magnus). Wiem, że wieś w tych czasach była jakby za kulisami życia. To co się działo na scenie to nie była wieś. Jednak nie można mówić, żeby wieś wtedy nie żyła. Przecież chłop jako sługa pana jeździł z nim po obcych krajach, bywał na dworach, zaglądał do salonów, jeździł na wojnę i uczestniczył we wszystkich walkach z tego tytułu. Nowiny ze świata przynosił przecież do domu pod strzechę. Co wtedy myślał? Nie będzie to życie samej tylko wsi, będzie tu i życie dworu. Jednak przez takie zestawienie wydobędziemy z mroku na światło życie wsi. Dostaniemy jego obraz uwypuklony.

W rzędzie pierwszym powieści umieścić bym powieść o wielkich ludziach wsi. Na

czym polegała ich wielkość. Czyny ich wydobylbym na światło naprawiając krzywdę, którą wyrządzono im przez milczenie o nich, dlatego że byli niskiego stanu. Wykazałbym ich wielkość w oświetleniu czasów obecnych i czasów, w których oni żyli. Na czym polegała ta wielkość. Z jakim trudem musieli piąć się zanim dopuszczono ich do głosu. Nie pozwolono im jednak działać. Nie sztuką jest być wielkim, gdy ma się wszystkie dane ku temu, ale półwolukę własnym wysiłkiem zdobywać stopień po stopniu, wraz z rzucaniem kłód pod nogi.

Chciałbym, żeby w powieści pokazane było bohaterstwo w życiu codziennym, w tych drobnych epizodach, z jakich składa się każdy dzień. A z dni życia. Żeby wykazane było bohaterstwo i zaparcie się tych ludzi, niby nie nie znaczących. Bohaterstwo matki pozbawionej głowy domu z dziećmi, pracującej nad siły, a nie ustępującej, nie uczonej. Skąd się to wzięło, tyle hartu. Bohaterstwo już od małego dziecka, wyrzekającej się od samej młodości wszystkich zabawek i uciech z powodu tego, że przynależnym się było do warstwy upośledzonej, biednej.

Potem chciałbym powieści o spółdzielczości.

Tam, gdzie rozwinęła się spółdzielczość rozwinęła się wieś gospodarczo, kulturalnie i podniosła się dobrobyt. Spółdzielczość to wyższy stan kultury w ustroju społecznym. W ustroju tym jednostka zatraciła swoje samolubstwo, przestaje żyć w pojedynkę, za pragnęła nie osobistej dobroci, ale szerszej, gromadzkiej. Dopóki każdy myślał o sobie nie widąc było nigdzie poprawy. Uwidoczniła się poprawa, gdy zaczęła myśleć gromadnie.

Tu napisałbym powieść o ks. Blizińskim i Liskowie. Jak się to stało zanim Liskow z tego, jakim był, stał się takim, jakim jest. A czy jeden Liskow u nas? Czy jeden działacz społeczny? Są, w każdej wsi może kilku.

Po tym chciałbym powieści regionalnej. Powstałej w pewnej dzielnicy, czy okolicy, która jest charakterystyczna tak, że charakter okolicy, wyciska swoje piętno na ludziach (charakterze), stroju, tańcu, sztuce ozdobi-

czej Np. powieść powstała na tle Tatr z specjalnym typem człowieka. Czy powstała na stokach gór Świętokrzyskich, czy bagien Polesia (tylko nie patrząc oczami Rodziewiczówny o Poleszuku). Czy powieść z równin Mazowieckich — jezior Szwajcarii Kaszubskiej i brzegu Bałtyku.

Dla wsi przydałyby się powieści podróżnicze, egzotyczne z opisem przyrody, ludzi, ich zwyczajów, obrzędów, wierzeń.

Powieści z dziedziny odkryw geograficznych, z dziedziny wynalazków o wielkich uczonych.

Będzie to miejsce i na fantazje (w rodzaju „Ne Srebrnym Globie” — Żuławskiego czy innego).

Poza tym radbym widzieć księgę humoru chłopskiego, zdrowego, ale nie jako zbiór wiców, ale książkę humorystyczną.

Miejsce do popisu mieć będzie i bajka dla dzieci.

Na koniec chciałbym jeszcze parę słów niekoniecznie dotyczących konkursu. Wierzę, że w czasie dzisiejszym, gdy dostęp do uczelni został otworzony, młodzież wiejska garnie się do nauki. Może nie dziś, ale może z tej młodzieży, która zaczyna dzisiaj uczyć się, a może dopiero z grona ich następców wyjdą ludzie, którzy napiszą powieść dla wsi. W sercu niejednego chłopaka marnującego się na wsi drzemie geniusz. A ci geniusze przyjdą nie tylko z dziedziny powieści, ale z każdego odcinka życia. Przyjdą i rzeźbiarze, malarze, poeci, muzycy, wynalazcy. Zdaje mi się, że oglądając Ateny i trybuny mówców, place zebrania. Każdy może z niego korzystać, powiedziec swoje, równą część dostaje, i każdy pracuje w miarę sił swoich. Wiem, że warstwa chłopska jest jak gleba żywna, która długo czekała na ziarno. Przez tyle wieków nagromadzały się w niej takie siły, o jakich nikt sam nie miał pojęcia. Gdy ziemię uprawi się, rzuci ziarno możemy czekać spokojnie na plon. Warstwa chłopska jak ziemia oddaje stokrotnie, gdy widzi, że gospodarz troszczy się i dba o nią. Zresztą sama będzie gospodarzem i nie dopuści, by mówiono o niej jako o złym gospodarzu.

**STEFANIA GŁUSZAK (Tarnowskie):**

Czytając gazetę „Wieś” dowiedziałam się o konkursie i postanowiłam posłać Ci moje uwagi na ten temat. Otóż na wsi bardzo mało się czyta, a to z różnych powodów. Najważniejszym z nich jest brak pism, a drugim brak czasu na czytanie. W powszednie dni zawsze jest jakaś robota, a wieczorem nie oplaci się siedzieć i czytać, bo światło bardzo drogie. W niedzielę i święta jest inaczej. Rano idzie się do kościoła, potem gotuje się obiad, a po obiedzie jest już wolny czas i można czytać. Tatusiom nie chce się czytać książek, najwyżej gazetę. Wolą iść do jakiegoś kuma, pogadać o gospodarce, dowiedzieć się, co w świecie słychać i pokurzyć bakonu. Ma musie też wolne chwile wykorzystują na pogawędki z kumoszka. To też na wsi najwięcej czyta młodzież. A więc pisać powieść dla wsi, należałoby ją napisać dla młodzieży. Oczywiście taką powieść mogą czytać i starsi. Zresztą my młodzi jesteśmy ważniejsi, bo my stanowimy przyszłość wsi. Teraz pytanie, jaką powinna być ta powieść. Otóż bardzo ładnie są książki romansu rozgrywane się w bogatych rodzinach i innych krajach, ale dla nas najbardziej odpowiednią byłaby powieść oparta na podłożu swojskim wiejskim. Bo czy tylko bogaci kochają się? Przecież i na wsi kochają się, a ich miłość może nawet jest piękniejsza i szlachetniejsza. A powieść dla młodzieży jest najbardziej zajmującą książką. I miejscem rozgrywania się akcji powinna być wieś.

Czy może być ładniejsze miejsce, jak wieś, a do tego np. w lecie. Bohaterką tej powieści zamiasz hrabiny niech będzie skromna i biedna dziewczyna wiejska, albo jakiś Jaś czy Waluś, czy inny chłopak wiejski. Akcja trochę niech będzie przez autora zmyślona, byle tylko nie przesadnie. Dwoje ludzi wiejskich kocha się wzajemnie. A więc zapoznanie, schadzki miłosne, przeszkody do zawarcia małżeństwa, sprzeciw rodziców; ktoś umyślnie potajemnie szkodzi, jakiś kradzieź, nieszczęście, pożar lub coś podobnego, co się w wsi zdarza, jakaś rywalizacja, zazdrość, zarumiałość, dziewczyna udaje panią z miasta. Należałoby wprowadzić różne typy ludzi wiejskich, jak starych, którzy widzą zło we wszystkim, nawet w tym, co jest dobre; innych zaradnych o zmyśle organizacyjnym, myślących nie tylko o dobru swoim, ale i społecz-

nym; jaką babę plotkarkę, cygankę z jej sztuką wróżenia, u której się radzi dziewczyna. Powieść ta powinna być dobrze przemyślana, aby czytało się ją z przyjemnością i zainteresowaniem. A więc jakieś wypadki, trochę tajemniczości. Co do czasu, to ta sprawa zależy już od autora. Może być okres przedwojenny, współczesny, lecz z małym nawiazaniem do przeszłości, jak się dawniej przedstawiała sprawa chłopów. Powieść ta powinna opisywać przede wszystkim życie wsi tylko nie bardzo rozświetlać, boby nudziła czytelników. Nie trzeba pominąć opisu przyrody, życia, nastrojów na wiosnę, i w lecie, szczególnie takie go okresu, jak maj ze swoimi pięknymi wieczerami, starodawny zwyczaj palenia sobotek. Lecz nie ogólnie, a szczegółowo, wszystko to przeplatając niemi miłości, kochania się młodych serc. Akcja powinna być dosyć ciekawa, zamgmatwana, ale grunt, żeby skończyła się ładnie osiągnięciem szczęścia przez bohaterów. Powieść ta powinna zawierać coś pouczającego, aby czytelnicy mogli odnieść z niej jakąś naukę. Szczególnie co do zenienia się. Ile to zdarza się wypadków, że żenia się tylko pod wpływem nalegań rodziców, którzy szczęście widzą tylko w morgolach. Wreszcie powinna być poruszona sprawa spółdzielczości i życia organizacyjnego. Znowu niech pionierzy spółdzielczości i życia organizacyjnego spotkają się z wielkimi trudnościami, a nawet i kłopotami. Bo przecież większa część chłopów, to jeszcze ludzie starej daty, którzy o niczym nie chcą słyszeć, co nowe, twierdząc, że dawniej tego nie było, a wszelkie spółdzielnie, to tylko wymysł panów, którzy z tego czerpią zyski naciągając głupiego chłopca. To jest słuszne, bo ludzie w spółdzielni mają często tylko dobro własne na celu, a nie ogółu. Co do języka w powieści, to powinien być jasny i ścisły, nie trudny do czytania, dostosowany do wykształcenia ludzi na wsi. Lecz nie gwara, bo gwara nie jest wszędzie jednakowa i byłoby ją trudno czytać. Na poezyjność nie należy się wysilać, bo my ludzie na wsi nie doceniaemy tyle poezyjności, co piękny treść. Autorem niech będzie, kto chce, tylko żeby ładnie napisał. Najlepiej, żeby autor znał dobrze wieś, jej życie, zwyczaje, a przede wszystkim kochał ją, a więc ten kto pochodzi z wsi.

## BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO

ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH  
Ł Ó D Ź, A N D R Z E J A 1 2

- 1. Paweł Kubisz „PRZEDNÓWEK” poezje, drugie wydanie (92 stron druku) — cena 120 zł.
- 2. Józef Andrzej Frasiak „URODZONY W ŻDZBLE” poezje (160 stron druku) — cena 180 zł.
- 3. Stanisław Pietak „DOM RODZINNY” poezje wybrane (144 stron druku) — cena 230 zł.
- 4. Edward Marzec „WNUCZEK ORZE” debiut poetycki (84 stron druku) — cena 80 zł.

\*) Wypowiedzi uczestników naszego konkursu drukowane były w n-rach: 1, 2, 3, 4, 5, 7 i 8 „Wsi”.

**D**NIA 1 lutego br. odbył się w Bratoszewicach, pow. Brzeziny w Liceum Rolno-Hodowlanym wieczór literacki, zorganizowany przez Oddział Wlejski Zw. Zaw. Literatów Polskich. Podana przez kol. Cz. Gardę myśl takiego wieczoru, w którym wzięliby również udział autorzy, została należycie zrozumiana i doceniona zarówno przez członków O. W. Zw. Z. L. P., jak też Dyrekcję i młodzież Liceum oraz miejscowe społeczeństwo. Organizację imprezy podjęto z dużym zapalem.

Redaktor Stefan Lichański objął szefostwo ekipy i podjął się jednocześnie wygłoszenia referatu oraz skompletowania utworów do odczytania. Zbiórka o godz. 15-ej w Redakcji „Wiś”, wyjazd samochodem Liceum do Bratoszewic.



W pięknej sali Liceum zgromadziło się blisko dwieście osób — nauczycielstwo, starsza młodzież szkolna i nieszkolna, pracownicy majątku szkolnego i gospodarze, gospodynie ze wsi. Ze strony literatów w wieczorze wzięli udział: Stefan Lichański, Anna Kamińska, Teodor Goździkiewicz, Zygmunt Sierp, Tadeusz Papier i Czesław Sobabowski, którzy odczytali własne prace, utwory Józefa Andrzeja Fraska, Stanisława Nedzy Kubśca, Pawła Kubisza, Edwarda Marca, Józefa Ozgi Michalskiego, Jana Bolesława Ożoga, Stanisława Pietaka, Stanisława Skonecznego, Piotra Ziarnika czytali: Zygmunt Kalużyński, Halina Sobierajska, Leonard Sobierajski i inni podnizani.

Program był tak pomyślany, że zaczęli mówić o przedwojenną twórczość wymienionych pisarzy, przechodząc poprzez wojenne wypowiedzi, w których brzmiał bunt i walka z okrutnym najeźdźcą, by potem włączyć się w rytm pracy już w wyzwolonej ojczyźnie. Nie sposób przytoczyć tu wszystkich prezentowanych utworów. Wiele spośród nich było drukowanych w tygodniku „Wiś”, względnie w tych zbiorach, jakie wydał Oddział Wlejski Zw. Z. L. P.

Przed 1939 rękami urządzano również podobne występy pisarzy ludowych na wsi (Burek, Młodziejewicz, Skuza i inni), ale były to wówczas wypadki raczej sporadyczne, organizowane na marginesie bodajże pracy społeczno-politycznej, która skupiała postępowy element chłopski. Nadmienić trzeba, że tego rodzaju imprezy śledził skwapliwie granatowy policjant i nierzadko spełniał obojętne polecenie starosty i rozpedzał zebranie. Chłopi nie mieli możliwości swobodnego zetknięcia się z pisarzem swojej klasy, by posłuchać o czym pisze, jakie ideały światła głosi, jakim drogami wiedzie ku jasnym introm? Pisarz chłopski, ludowy, który głęboko odczuwał i przeżywał krzywdę brata — chłopca miał zamkniętą drogę porozumienia się z nim i ukazania ukrywanemu światła nadziei zmian losu na lepsze.

Dziś nie ma stół na przeszkodzie wzajemnej wymianie myśli i uczuć, natchnień i wzruszeń pisarza z czytelnikiem. Nie i nikt nie przeciwstawia się ich porozumiewaniu się dla dobra jednego i drugiego, dla pożytku ogólnonarodowego, a pewnie i ogólnoludzkiego. Przejawnie, udostępniono im obu kulturalne wnętrza pałaców b. obszarników i kapitalistów, gdzie się mogą zbierać, swobodnie radzić i prezentować swe utwory.

A czyż nie jest to radośnie zjawisko, że oto chłopcy wykazują zainteresowanie literaturą, pisarzami, że uczestniczą w wieczorach literackich, że się przez to wzwyżniają, podnoszą swą godność i dumę klasową, rozszerzają horyzonty swych wiadomości, nastawiają swe myśli i wole na tor twórczego działania.

Powie ktoś z malkontentów, że to jeszcze za mało, że nie wszyscy biorą w tym udział, że jeszcze wiele na wsi jest zgorzniecia itd. Istotnie, nie przeczymy, że tak się nie należy jeszcze dzieło, ale wina i po naszej stronie, że wciąż za mało interesujemy się tymi zagadnieniami, że nie spieszymy wsi, na pomoc w dźwiganie się z koszarową okupacją i klasowej wojny i dlatego każdym takim przejawem pozytywnego działania trudno się nie cieszyć, że tego rodzaju imprezy literackie już się odbywają, że są ludzie spośród pisarzy, literatów, poetów, krytyków literackich, którzy te sprawy doskonale pojmują i doceniają, że nie szczędzą swego czasu, że ochotnie spieszą podzielić się swoimi zdobyciami na polu literatury, piśmiennictwa, wynikami, osiągnięciami. Dzieje się to pewnie na skutek owej filozoficznej mądroski społecznej, że radość podzielona z przyjaciółmi jest zdwojona radością, a niewątpliwie wielu przyjaciół mają pisarze ludowi wśród ludności wiejskiej. Ma tu również zastosowanie Mękwiczowski powiędzenie o słodkości nektaru żywota dzielonym z bliźniemi. Społeczny aspekt tego rodzaju działania podkreślił wyraźnie w swoim referacie Red. S. Lichański i te trudności, jakie hamowały podobną działalność literatów przed wojną.

Jeśli dziś narzekamy, bładamy nad wieloma brakami życia społecznego na wsi, czy w mieście to winę składamy na barbarzyństwa hitlerizmu, który denudował dusze polskie. Dziś jako środek zaradczy przeciw takiemu stanowi rzeczy musimy przyjąć wzmożenie oświaty wśród najszerzych warstw społeczeństwa i stanąć do tej pracy w inni wszyscy. Zasiłki biblioteki oświatowe w książki i czasopisma, rozesłać w teren specjalnie wyszkolo-

# LITERACI CHŁOPSCY W „TERENIE”

nych instruktorów oświatowych, teatralnych, chórow, muzyki — oto drogi kierowania, sułblimowania złych nawyków, zwłaszcza młodszego pokolenia w lożyska oświatowego działania.

Długa to i ciężka droga, wymagająca wiele wysiłku i być może czynnik społeczny tu nie wystarczy, w pomoc muszą przysłać siery rządowe i to zarówno na drodze finansowej, jak i ustawowej.

Tak pomoc będzie może najważniejszą bronią przeciw znu, ale dla jej przyjęcia muszą zaistnieć odpowiednie okoliczności. Wiesz ododownie musi poczuc pragnienie tego rodzaju pokarmu duchowego, jaki niesie ze sobą dobra książka, żywe słowo jej autora, oświatowca i wcześniejsze przygotowanie roli pod szeroki, siew oświatowy widzi się tu konieczny. A kiedyż zapragnie, jeśli o tym nie będzie wiedział, jeśli nie przyjdzie wcześniej ktoś z bliskich duchem i bliźnich i nie powie mu o tym, jakim dobrodziejstwem jest książka, oświata, co daje nauka, wykształcenia fachowe.

Musi najpierw nastąpić rozbudzenie środowiska takim i innymi wystąpieniami, zebraniem, musi się je doprowadzić do takiego stanu pragnienia, że świadomie, ze zrozumieniem własnych potrzeb i dążeń znacznie środowisko samodzielnie zdobywać środki do zaspokojenia swych pragnień kulturalnych, a wtedy nowo wydana książka, impreza literacka, teatralna w objawowym teatrze w miasteczku, odczyt, wieczór autorski pisarza spotka się z należywym zrozumieniem, będzie on szedł po linii zaspokajania gorących potrzeb i pragnień środowiska.

Dr Marian Wachowski w jednym ze swoich artykułów drukowanych w miesięczniku „Oświata Rolnicza” nr 5 z 1946 r. porusza ciekawe zagadnienia tzw. „wzrastania w kulturę otoczenia”, co w odniesieniu do zawodu rolniczego przewidywało nierzadko wykształcenie zawodowe szkolne.

Takie właśnie literackie imprezy, jaka O. W. Zw. Z. L. P. zorganizował w Bratoszewicach przyczyniła się w dużej mierze do wytworzenia i same wybitnie wpływała na powstawanie kulturalnej atmosfery otoczenia, która w dalszej konsekwencji będzie przygotowywała ludzi, będących w zasięgu jej działania do należytego rozumienia i odczuwania dóbr kulturalnych, a być może w przyszłości i do ich bogacenia.

W omawianym wieczorze literackim wzięła udział w charakterze słuchaczy miejscowa młodzież losalna, przyszli nauczyciele szkół rolniczych, działacze i instruktorzy rolni. Stało się to po myśli zarówno Dyrekcji Zakładu, jak i Organizatorów, bowiem rozumieją wszyscy, że rolnik najbliższej przyszłości musi być rolnikiem wykształconym zawodowo, a jak twierdzą zarówno teoretycy jak i praktycy musi on mieć nie tylko „ekonomiczne i techniczne punkty widzenia” na otaczające go zjawiska w świecie, ale tam gdzie trzeba u mieć myślenie również „kategoriami humanistycznymi”. Musi on być zainteresowany i w pedagogice i historii i socjologii wsi, spódzielczości i nie obce winny mu być również zagadnienia społeczno-oświatowe, kulturalne i in.

Kiedy więc w kilka dni po tym wieczorze literackim zapytaliśmy zespół uczniowski licealistów — Czy takie imprezy literackie są potrzebne? — nie było żadnego, który by zakwestionował ich celowość i potrzebę, przeciwnie, wyrażali pragnienie urządzania podobnych w swoich środowiskach wiejskich, widząc w nich skuteczną ośrodek przeciw zafanemu ciemności i bierności, upatrując w im

prezach literackich czynnik budzenia zamiłowania do twórczej pracy nad sobą, do dalszego kształcenia i samokształcenia się, do czytelnicstwa i oświaty w ogóle. Wieczór ten sprawiał im i te szczególną radość, że czuli się mocniejsi na duchu, byli dumni ze swego pochodzenia, Pisarze, synowie wsi, którzy swoją pracą i zdolnościami doszli do poważnych osiągnięć w literaturze, podsuwali im podświadomie sugestie, że i ich wysiłek może wysunąć ich na zaszczytny szczebel w społeczeństwie.

Na pytanie — Czy wola utwory pisane gwarą, czy językiem literackim? — opowiadali się raczej przeciw gwarze, twierdząc, że ludzie na wsi unatrują w gwarze zafacenie przywodzi ona na myśl wspomnienia ciężkich czasów nadszczytanych, tkwiących dotąd w tradycji wiejskiej. Przez znajomość języka literackiego wiesz zbliża się bardziej do warstw oświeconych, co podnosi jej ambicje dźwignia się kulturalnego w zwyczaj, wyzbywania się kompleksu niższości. Miała młodzież jeszcze zastrzeżenia w odniesieniu do całości omawianego wieczoru, że był za obszerny, że referat był za trudny, że nie każdy odczytywanym utwor był odpowiednio podany, a przez to tracił wiele ze swego piękna, a przez to i rozumienie tego i odczuwanie napotykało u słuchaczy na pewne trudności.

Ciekawy jest również i ten fakt, że młodzież nie zacieśnia swych zainteresowań do literatury czy pisarzy li tylko wiejskiego pochodzenia, ale pragnęli również zetknąć się i poznać, zobaczyć, usłyszeć pisarzy i poetów robotniczych, których twórczość obejmie tematykę wiejską, robotniczą.

Mając nowsze doświadczenia, będziemy w dalszym ciągu inspirowali i inicjowali podobne wieczory w innych miejscowościach w szkołach rolniczych, w uniwersytetach ludowych, mając na względzie ich dużą wartość w kultywowaniu i szerzeniu kultury w szerokich masach społeczeństwa.

Oddział Wlejski Zw. Z. L. P. spełnia swą funkcję służenia takim celom doniosła rolę krzewicieli oświaty i kultury i społeczeństwo wiejskie pamiętać będzie z wdzięcznością o tych, którzy nie zapomniał się do b'urek i redakcyjnych gabineł, nie idą w teren jak pionierzy, działacze, którzy chcą mieć obiekt swego oddziaływania przed oczyma, pragną z nim bezpośrednio mówić, wczuć się w jego potrzeby, pragnienia i umieć potem wiązać tamte spostrzeżenia z własnymi kon-



ceptami myślowymi. Taka współpraca i takie wzajemne współdziałanie przyniesie pożytek społeczeństwu polskiemu i polskiemu piśmiennictwu.

Piotr Groniuk.  
Ilustr. St. Cieloch

## DYSKUSJA O POEZJI DLA DZIECI

Po raz pierwszy bodaj w publicystyce po wojnie poruszony przez Annę Kamińską temat nowoczesnej poezji dla dzieci, pojętej jako teren na którym można zastosować zdobyte formalne liryki lat ostatnich (Nr 48 „Wiś” — „O nową poezję dla dzieci”), okazał się wielopłaszczyznowym, i wywołał szerokie echa. W Nr 3-cim „Wiś” drukowaliśmy uwagi F. Kirlo-Nowaczyka, który eksperyment Kamińskiej próbował wykorzystać na terenie szkolnym, odczytując dzieciom wiersz, przytoczony przez autorkę jako próba realizacji nowej poezji; do redakcji naszej napływały utwory, powołujące się na wypowiedź autorki; „Życie szkoły”, poświęcone problemom pedagogicznym, tak oto streszcza propozycje Kamińskiej (Nr 11):

Wierszyki i prawdziwa poezja. Anna Kamińska atakuje. Analizuje wierszyki dla dzieci i stwierdza, że cała ta wierszowa literatura nie przygotowuje do czytania i rozumienia współczesnej poezji. Jeśli opis przyrody, to banalna personifikacja miesiecy i por roku, — jeśli przedmiotowy, to pewno gadające i tańczące. I ze słusznością nadmieniam, że jest to sztuczne narzucanie dziecku obrazu świata, który nie jest ani światem dorosłych, ani światem dzieci. Ponieważ dopiero pierwsze zetknięcia się dziecka z literaturą łączy formy wyobrażeń i pojęć, mogą to być formy nowe, bliższe poezji współczesnej. Sądzi, że poeci, pracujący dla dzieci, są zbyt bierni i nie czynią próby w kierunku uwspółcześniania poezji.

Dyskusja o powieści dla dzieci zbiegła się z dyskusją o „niezrozumiałostwie” poezji awan-gardowej i innego typu współczesnej liryki; temat ten podjęli nasi korespondenci wiejscy, czerpiący swe doświadczenia z obserwacji. Jest charakterystyczne, że dla nich wszystkich istnieje problem poezji nowoczesnej, t. zn. zauważają olbrzymi opór przy przyjmowaniu tej twórczości przez odbiorcę wiejskiego; a jednak pomimo owych praktycznych zastrzeżeń, zgadzają się w zasadzie na wpro-

## Pierwsza polska książka na Zaolziu

Gustaw Przekcsek: Serce na kolczastych drutach (wiersze z obozu koncentracyjnego Mauthausen — Gusen — Czeski Cieszyń) 1946 nakł. własnym — str. 71.

W kwietniowy dzień 1940 r. wśród więźniów aresztowanych synów Śląska Zaolziańskiego znalazł się w reku gestapo młody bystrzycki nauczyciel, 26-letni Gustaw Przekcsek — z tych Przekców co to z Orłowej czy Stonawy ród swój wywodzili i polskością wrońnicy byli w ślaską glebę od pradawną. Golgota jego męki trwała równo 5 lat a jej etapem był Cieszyń, Sosnowiec, Dachau i Mauthausen — Gusen.

Przeżył osobiste i zbiorowe tych czasów zamknął ten nowy zaolziański poeta w tomiku wierszy „Serce na kolczastych drutach”. Dobrze, że ta pierwsza książka polska na Zaolziu, która ukazała się w ostatnią wigilię nie jest żółciowym oskarżeniem i przekleciem minionych lat ofiarńictwa, ale jest raczej zamknięciem tego okresu w radosnym odetchnięciu wolności. Wiersze „napisane w najcięższych warunkach na topaście lub bryle kamienia” — słowa Autora w Dostłowie — doczekały się wyzwolenia by świadczyć i oskarżać; nie aby wywoływać krzyki i nienawiść, ale aby spajać miłość na przekór ciemnościom.

Całość podzielona jest na trzy części. W pierwszej, w otwartych, surowych wierszach opisuje poeta szarzyne, brutalność i grozę życia obozowego, te dotorywające postacie i wieczne głodne szkielety („O guzenowskiem piekle” i „Głód”).

„Każda baraka n'by ciemna trumna,  
A w niej śmierć zbiera n'jednizale plony,  
Gromadzi żniwo w bogate swe gunna,  
Żniwo meczeskie a krw'ia ubroczone”.

„I tylko wiatr gra na twoich żebrach  
Piosenke niedzy mokrych rzes”.

Kiedy codzienna pieśń jest umieranie, a dni rosna w kamienne sterty (piękny wiersz „Zespoleni”), jeden, drugi, czy dziesiąty postanawia żyć mocą ducha „o odczytane oparty nadzieie”. Czułe serce rwie się na północ.

„To matka wola, debowy próg chaty,  
Żany szerokie i żywiczne smreki”.

Ale i wśród tego piekła obozowego znajdzie się jeszcze chwila ciszy w której można na skrzydłach duszy odwiedzić swój Biskid i dom rodzinny. Wtedy autor czuje się znowu dzieckiem co modli się słowami szczęścia Kiedy uprzytomni sobie jednak, że w wielkich halach fabrycznych praca rak skazańców przynosi ży, krew i śmierć niew'nych samienie dyktule mu słowa:

„Płonące włóknokręgi wolny pochłoneły miłość,  
A dobroce zastęga w obliczu twardych skał granitu”.

Nie traci nadziei że to się musi zmianić.

„Powróca znowu takie noce od gwiazd  
srebrnozłote  
I serca miłością zespolą szczęśliwe godziny,  
A w piersi zapala na nowo tę wielką tęsknotę  
Do tego, co piękna, co dobre, co z rak Boga  
płynię”.

Ta chrześcijańska miłość i tym wycieknięciem spodziewanego szczęścia przeniesiona jest wielkość wierszy. Ulge przynosi mu szczerzłota jest'ca nasza, Zaduszki, padające płatki śniegu, Wigilia.

Ten, co w Gusen uczył się tworzyć „świat potężniejszy z łomów granitu” śnił o nowych dniach. Na kamiennych bryłach — jak sam pisze — a wcielę jeszcze szepcącym koledze wierszem, wint się rozchodzącym, w ścisł nowa nienodzieła pieśń, takż czas i dzieje. Przyjda także dni, dni radosnego wyzkania na ojców, meżów, braci narzeczonych, co do Enfratu, z nad Nilu i dalszych jeszcze stron schodząc się b'ada nad Wisłę a kazamackie zwole drutów „w spodłona pierś wroga walnka kolcami”.

„I stana wszyscy pomordowani,  
Na w'eczny apel wstana wraz,  
I meka śmierci skrzepnieci w granit  
Wykują żywy testament nasz”.

Te słowa przekazuje Autor pozostałym przy życiu Gusenowcom z nadzieją i życzeniem, że tak jak śmierć jednych była cementem serdecznej krwi na odbudowę Nowej Niepodległości, tak pozostali przy życiu będą tym cenniejsi, że zaświadcza i słowem i postawą swą o minionych ciemnych dniach i stana się pomostem między pokoleniem ludzi podwójnie niewolnych, co swymi sercami na kolczastych drutach zgotowali narastającemu pokoleniu nadzieiniejzą przyszłość.

Wiersze Gustawa Przekcseka utrzymują się w całości w tonie raczej spokojnym: nie ma w nich gwałtownych wybuchów uczucia, gorzycy lub przekleństw. Jest duchowa równowaga; jakis biblijny spokój. W wielu wierszach daje się zauważyć brak skryształowanej myśli czemu się nie dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę warunki, w jakich wiersze te powstawały. A spokój duszy i cisza zewnętrzna też odzwierciedla ważną rolę. Są jeszcze i pomniejsze usterki, ale ktoś z początkujących ich nie ma? Każde te z tym gorętszym sercem przywiąd należy, że jest to pierwsza w okresie powojennym książka polska na terenie czechosłowackim w granicznym regionie śląskim.

Jan Broda

# F A K T Y i Z D A N I A

## TAK SIĘ FABRYKUJE NIEMIECKICH „DEMOKRATÓW”

L. Marszałek cytując w „Głosie Robotniczym” z dn. 18. II. br. następujące ogłoszenie, które jest rozpowszechniane przez prawników na terenie Bawarii:

„Czy chce pan być zdenazifikowany? Proszę się zwrócić do mnie z całkowitym zaufaniem. Nadzwyczajne wyniki, wiele listów dziękczynnych! Pańska pomoc ograniczy się tylko do następujących czynności: Wskazać osoby (2 wystarczy), które widziały pana w kościele w latach 1933 — 1945, wymienić 2 osoby, którym pan zwierzył się kiedyś, że wojna może być przegrana, streścić krótko powody, dotyczące pańskiego wstąpienia do partii, wspomnieć o konfliktach. Resztę załatwi nasze biuro.”

Jeszcze 930.000 „byłych” hitlerowców czeka w Bawarii na załatwienie wniosków denazifikacyjnych, czekała chyba bez zniecierpliwienia. Przychylnie załatwienie sprawy zapewnione — wkrótce, będzie nowych 930.000 „demokratów”. z. s.

## WŁAŚCIWA ODPOWIEŹ

Tzw. „Demokratyczny Związek Kobiet miasta Hannover” zwrócił się do wszystkich kobiet chrześcijańskich świata z apelem, w którym prosi o rozpowszechnianie wiadomości o strasznych losach Niemców i o spowodowanie zmiany polityki państw okupacyjnych.

Na apel ten, który ze wzruszającą naiwnością przedrukowywały pisma zagraniczne, odpowiada Kamila Chylińska w „Gazecie Polskiej”, piśmie polskiego wychodźstwa we Francji (nr 449 z dn. 13.II.47). Oto jej odpowiedź w wyjątkach:

„Nie ma i nie może być więzi między nami a wami, narodem odpowiedzialnym za 500 obozów śmierci, za wymordowanie 25-ciu milionów ludzi bądź to w komorach gazowych, bądź też przez systematyczne ich wygładzanie!”

„Mówicie o wielkiej niemieckiej niedoli. My zaś myślimy o bezmiarze polskie go cierpienia A, cierpienie nasze nie mierzy się — jak wasze ilością brakujących kilogramów mięsa, masła czy cukru, lecz ilością straconych żyć ludzkich, ilością ruin i pogorzelisk.

Mimo to wszystko nienawiść nie jest naszą religią i nie pragniemy by stała się religią ni elementarzem naszych dzieci. Ale nie mamy najmniejszego powodu wierzyc Niemcom na słowo. Domagamy się, by odpowiedzialni za największą w dziejach ludzkości kolektywną zbrodnię — ponieśli karę, na jaką zasługują! Nie chcemy by jutro znów germańskie bezprawie zapanowało nad światem! Nie chcemy by znów połały się łzy nasze, by znów trysnęły strumienie naszej krwi! Nie chcemy, by sprawiedliwość wobec Niemców rozplynęła się w ilości i miłosierdziu! Gdyż miłosierdzie chrześcijańskie nie jest formułą, aprobującą ucieczkę od zasłużonej kary.

Nie pomoc w ucieczce od odpowiedzialności, ale pomoc w jej zdobyciu — taka powinna być rola kobiet niemieckich wobec ich mężów, synów i braci. Zrozumieć ogrom swej winy, rozprostować skrzyżwiona, zdegenerowane koncepcje, uznać za zbrodnię bierność wobec zbrodni — oto droga narodu niemieckiego.”

Nad słowami tymi winni się zastanowić wszyscy ci, którym głośny i zgodny chór lamentów niemieckich zbyt łatwo otwiera upusty uez, portfel, a nawet... granice. z. s.

## ANGIELSKI WĘGIEL

Jak donosi Polska Agencja Prasowa, Anglicy mają obecnie wiele trudności z opanowaniem sytuacji na rynku węglowym. Brak rąk robotczych uniemożliwia przywrócenie przedwojennego stanu wydobycia węgla. Rzecznik angielskiej Izby Handlowej otwarcie przyznaje: „Brytyjski eksport węgla właściwie skończył się na zawsze”. „Obecnie świat pragnie węgla, ale W. Brytania nie może brać udziału w jego dostawie, później zaś, gdy W. Brytania będzie w stanie to uczynić, świat nie skorzysta z tej oferty ze względu na konkurencję, jaką będzie stanowił węgiel polski”.

Jako dobry przyjaciele życzymy, żeby się te przewidywania spełniły w 100 proc. Z drugiej strony — to tylko od nas zależy, czy się tak stanie. I. I.

## IDEA FRATERNIZACJI OWOCUJE

Władze brytyjskie zezwoliły licznym jeńcom niemieckim przebywającym w obozach na terenie Wielkiej Brytanii na spędzenie świąt Bożego Narodzenia w domach angielskich. Wyniki tej sielanki nie dały długo na siebie czekać. W Anglii zaobserwowano ostatnio wiele wypadków ucieczki jeńców niemieckich, znanych hitlerowców, przy czym wywiad Scotland Yardu ustalił współudział organizacji rekrutującej się spośród ludności angielskiej w zorganizowaniu i przeprowadzeniu ucieczki na kontynent.

„Wiele kontaktów zostało nawiązanych podczas świąt Bożego Narodzenia, gdy rząd brytyjski pozwolił jeńcom niemieckim na odwiedzanie domów angielskich. Dochodzenie przeprowadzone u tych, którzy złożyli podanie o zezwolenie dla jeńców spędzenia świąt w ich domach, wykazało że w wielu wypadkach zaproszenie poprzedzone było badaniem, celem którego było zapewnienie, że kandydat do ucieczki jest rzeczywiście hitlerowcem” — pisze „Gazeta Polska” (nr. 449, dnia 13. II. 47r.).

Dziwiłiśmy się, że władze angielskie okazały tyle „dobrego serca” w zezwoleniu na przyjmowanie jeńców niemieckich w domach angielskich, tym bardziej, że skutki tego mogły być tylko żałosne.

Teraz jednak okazuje się, że istnieją utajone siły, które grają na uczuciach brytyjskich ministrów i., dziwimy się już mniej. z. s.

## COŚ NA POCIECHE

Amerycanie przystąpili wreszcie do uporządkowania spraw Niemców przesiedlonych z terenów przyznanych Polsce. Oto suchy, ale pocieszający komunikat PAP:

„Amerykańskie władze okupacyjne zleciły Landratom przygotowanie ustawy o naturalizacji Niemców, którzy zostali przesiedleni do Niemiec, lub sami wrócili. Zarządzenie władz amerykańskich wydane Landratom wyraźnie wymienia Niemców przesiedlonych z ziem położonych na wschód od Odry i Nysy.

Należy zaznaczyć, iż dotąd naturalizacja Niemców wysiedlonych z Polski została przeprowadzona jedynie w radzieckiej strefie okupacyjnej”.

## CYFRY TEŻ MÓWIA

„Dziennik Ludowy” z dnia 17 lutego w artykule pt. „Przykre zestawienie” zwraca uwagę na poważne niedociągnięcia w realizacji planu gospodarczego przez administrację majątków państw, na ziemiach odzyskanych. „Przykre zestawienie” wygląda następująco: chłopci mieli obsiać 800 tysięcy ha ziemi, obsiali 960.354 ha czyli 120 proc. planu. Majątki państwowe miały wykonać siew na obszarze 400 tysięcy ha, a dokonały zasiewów 234.435 ha, co stanowi 58,6 proc. planowanego obszaru. Podobny stosunek zachodzi przy wykonaniu planu orki jesiennej.

Nie omylił się bardzo — pisze „Dziennik Ludowy”, — jeśli wysunęmy twierdzenie, iż w majątkach państwowych niedopisuje, poza małymi wyjątkami, administracja terenowa.

## Nowe zagadnienia teatralne

Pożyteczne „Listy z teatru”, wzorowo redagowane przez Wojciecha Natansona, nabierają wyraźnego oblicza „postulatowego”, jeśli idzie o politykę teatralną. Nie znaczy to, by pismo zamieszczało programowe rozprawy, jakieś zasadnicze ideologiczne rozważania; pismo pozostaje przy swoim skromnym, raczej informacyjno — rzeczowym tonie, — jednakże przez dobór, ustawienie i oświetlenie tematów wysuwa na plan pierwszy nowoczesny teatr „poetycki” (reprezentantami tej twórczości będą — Świrszczyńska, Gaycy, Flukowski, Swinarski, Morstin), w zakresie zaś zagadnień formy inscenizacyjnej dyskutuje stosunek słowa literackiego do teatru, zajmując stanowisko umiarkowanie pośrednie, to jest nie pochwalając przyszłowej „samowoli reżyserów” — formistów teatralnych, ale też biorąc pod uwagę jednostronność spojrzenia literata, dla którego na scenie słyszalne jest tylko słowo. Ten program nigdzie nie jest wypowiedziany „expressis verbis”, tj. dosłownie, jak tu skrótkowo próbujemy go streścić; „Listy z teatru” cechuje bowiem powściągliwość w wypowiedziach, i raczej panuje na lamach ton stwierdzenia, niż polemizowania, — również pismo nie przemilcza zjawisk teatralnych innego typu i bynajmniej ich negatywnie nie określa; jednakże ostatnie dwa numery (8-ny i 9-ty), przez dobór i ujęcie prac, pozwalają nam w ten właśnie sposób odczytać nastawienie pisma.

Są to numery bodajże najciekawsze z dotychczas wydanych; przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na celowość konstrukcji, wyróżniającą „Listy z teatru” od niechlujnie i bezplanowo redagowanego „Teatru”. Każdy numer składa się z kilku części, spełniających określone zadanie. Obok artykułów na tematy ogólne, omawiających nowe premie Krakowskiej (a trzeba podkreślić, że prace te, pisane przez znanych literatów, nie przekraczają — i to wtedy, gdy są największe — 2 stron druku broszurowego formatu, i na tak małej przestrzeni kondensują temat najbardziej rzeczowo), znajdujemy z reguły wyjątek ze współczesnego utworu dramatycznego, dotyczących niedrukowanego (w Nr. 8 fragment „Diabelskiej wyspy”, dramatu czeskiej autorki Olgi Scheinpflugowej, żony znakomitego pisarza Karola Capka, w Nr. 9 „Soczewica” Stefana Flukowskiego, dramat poświęcony problemom polsko — niemieckim w czasach Łokietka; sztukę tę tak określa J. A. Szczepański: „w swoim zakresie i jakości jest „Soczewica” szczególnie cennym nabytkiem tzw. repertuaru ludowego”), dalej omówienie premier zamiejscowych (na Śląsku), ankieta „Jak mówić wiersz”, wreszcie „Kronika zagraniczna”, podająca informacje o europejskich, sowieckich i amerykańskich zdarzeniach teatralnych. Fotografie, dobrane z punktu widzenia potrzeb charakterystyki teatralnej, a nie by reklamować „gwiazdy”, pozwalają się zorientować w stanie naszej plastyki scenicznej i techniki inscenizacyjnej.

Najciekawsze w n-rze 8-ym będą dla działacza teatru ludowego dwa artykuły: Aliny Swiderskiej „O gest kontuszowy” i ankieta „Jak mówić wiersz”. „Z przykrością patrzę — pisze Swiderska, — jak nasi aktorzy są po prostu przebrani w kontusz, ale ani się w nim ruszać nie umieją, ani go nie czują”. „W tym stroju, tak na wskroś malarzkim, i w sposobie noszenia go, odzwierciedla się jednocześnie i owa demokratyczna buta („szlachciec na zagrodzie równy wojewodzie”), i fantazja jaśniepańska, której gest umiał podpatrzeć i przyswoić go sobie nawet szlachetka na paru włóczękach ziemi”. „Dla takiego jegomościa zasunięcie rąk za pas kontusza było gestem równie naturalnym, jak dziś wsunięcie rąk w kieszenie — poprawienie wylotów łącznie z podkręcaniem wąsa, lub sięgnięcie do szabli, dopełnieniem słowa”. Uwagi Swiderskiej, bardzo konkretne mają duże znaczenie dla reżysera teatralnego. Dziś szczególnie, gdy nierzadko Fredro wchodzi na scenki naszych teatrów ludowych, gdy czując się dziedzicami kultury szlacheckiej potrafimy ją wykorzystywać bez neinawości, i postaci te nowym naszym widzem na płaszczyźnie historycznej tłumaczyć, informacje takie są dla nas ważne, tym bardziej, że aktorzy ludowi chętnie owe role grają, i wyko-

nują je z właściwym zacięciem.

Ważna dla działaczy ludowych będzie również ankieta „Jak mówić wiersz”; w Nr. 8 odpowiadają aktorzy J. Kreczmar i J. Ciecierski. Szczególnie ta uwaga Kreczmarza wydaje się godną polecenia, zważywszy, że popadanie w łatwą ekspresję i przesadę, nieskrępowana analiza budowy wiersza, jest częstym błędem naszych recytatorów: „Forma wiersza wyklada jego treści myślowe i uczuciowe, a często nawet określa rodzaj i natężenie ekspresji. Dlatego straszliwym błędem recytatorów jest lekceważenie formalnej strony wiersza, a nierzadko gwałcenie jej w sposób zgoła niefrasobliwy. Jakże często recytator nie zwraca najmniejszej uwagi na budowę utworu, którego nie rozumie; mówi go w anonimowym wzruszeniu na wszelki wypadek, podczas gdy autor dał mu w rękę klucz do zrozumienia wiersza w jego układzie formalnym”.

W n-rze 8 zwraca jeszcze uwagę artykuł Antoniego Gołubiewa: „Istotny sens „Rozdroża miłości”. Idzie tu o nowy dramat J. Zawileyskiego; Gołubiew udowadnia, że „sposób patrzenia artysty na świat jest wynikiem jego podstawowego światopoglądu”, i wykazuje następnie, że sztuka Zawileyskiego mieści się ściśle w światopoglądzie katolickim. Praca ta nas poucza, że niema sztuki „obojętnej ideologicznie”, i że nawet jeśli poglądy autora nie są wypowiedziane jasno, to jednak jego dzieło mieści się zawsze w światopoglądzie, który możemy odcyfrować, zapomocą analizy krytycznej. Gdy dzisiaj organizator teatru ludowego bierze się do montowania repertuaru, nie powinien o tym zapominać i ściśle badać wydźwięk utworu, by go umieć wykorzystać w sposób pedagogiczny.

W n-rze 8 znajduje się również interesujący wywiad W. N. z Aleksandrem Zelwerowiczem. Zelwerowicz wspomina premierę „Wesela” w Krakowie w r. 1901, grał wtedy Kasprowicz. Wywiad ten jest ciekawym przykładem do dzieł dramatu Wyspiańskiego.

Mniej interesującego dla teatru ludowego materiału zawiera nr. 9, ale i tu znajdujemy omówienie „Wielkiego człowieka do małych interesów” Fredry, które nas powinno zająć. Sztuka ta, pisana w ostatnim okresie twórczym, różni się od głównych komedii fredrowskich, gdyż opisuje środowisko nowe, pół-szlacheckie, pół-mieszczanckie, i stosuje inne środki wyrazu, zbliżone do nowoczesnego realizmu, w przeciwieństwie do wielkich jego komedii, związanych ze stylem romantycznym. Dlatego dzisiaj, gdy radzibyśmy wprowadzić realizm na scenę, warto pomyśleć nad tą komedią, która niejednego nas nauczy, np. sposobu wpłcenia satyry w obraz środowiska. Bo postać Jenialkiewicza, „wielkiego człowieka do małych interesów”, może być ujęta jako satyryczna; typowo to przedstawiciel drobnej „polskiej megalomanii”, zresztą ukazany niezłośliwie, z „wdziękiem” artykułu Wiesława Goreckiego).

Ciekawa dla oświetlenia nieporozumień między literatami a teatrem, odbijających się fatalnie na teatrze, bo istniejąca i działająca krytyka literacka nie dostrzega specyficznych cech nowoczesnej sztuki teatralnej, jest wypowiedź St. Kisielewskiego: „Do teatru chodzę rzadko i niewątpliwie nie należę do teatromanów; po prostu dreszcz ten jest mi obcy — na przedstawienie patrzę zawsze jako na mówiony utwór literacki, a że utwór wolniej się mówi niż czyta — podążam myślą szybciej niż słowa aktorów i drażni mnie żółwie tempo i mała intensywność akcji scenicznej”. „Asystując przy przedstawieniu teatralnym, zawsze skłonny jestem sprawdzać je do tej dziedziny sztuki, której jest ono najbliższe: gdy widzę „Hamleta” wyobrażam sobie zadrutowane strony książki i żal mi myśli, które przemijają raz wypowiedziane jako „kwestia”, podczas gdy w lekturze z taką przyjemnością i korzyścią wróciłibyśmy do nich kilkakrotnie”. To ciasne nastawienie literatów, niczego nie widzących na scenie, sprawia, że dotychczas nie posiadamy krytyki teatralnej, zdolnej objąć szerokim rzęsdom widzów zadania teatru i umiejętnie jego losami pokierować.

Zygmunt Kałużyński.

Bo czymże można wytłumaczyć fakt, iż mając do dyspozycji o 1500 traktorów więcej niż chłopci, osiągnęto tak mizerne wyniki. Być może maszyny te woziły szaber lub załatwiały jakieś inne sprawy z kategorii tzw. „służbowych”. W każdym bądź razie wytłumaczenia tu nie widzimy, bo chociaż, co prawda, traktory „kulaly”, ale u chłopca też nie chodziły galopem. Pocieszanie się, że niedociągnięcia majątków państwowych zostały wyrównane na odcinku gospodarstw chłopskich, na skutek czego odcinek 3-letniego Planu Państwowego, przypadający na zasiewy jesienne 1947 r., został wykonany praktycznie w 100 proc. — nie rozwiązuje zagadnienia.

Fakt pozostaje faktem. Majątki państwowe nie wywiązują się ze swych obowiązków.

W planowaniu wiosennej akcji siewnej trzeba to wziąć specjalnie pod uwagę, a kontrola społeczna względem foliworków powinna być naprawdę czujna i bezkompromisowa.

Ludowemu Ministrowi Rolnictwa — ku uwadze! P.

## KTO ICH UPOWAŻNIŁ?

Pod takim tytułem i ze świętym oburzeniem „Polska Ludowa” z dnia 16 lutego br. zamieszcza notatkę, dotyczącą posłów katolickich w nowym sejmie. Oto co pisze Organ PSL:

„Jest ich aż trzech posłów w owym „Kato-licko — Społecznym Klubie Poselskim”. Niech sobie będą: Katolikom to nie zaszkodzi.”

Z tej „trójki katolickiej” przemawiał poseł Frankowski i stwierdził:

„Katolicy gotowi są współpracować ze wszystkimi ugrupowaniami politycznymi pod warunkiem jednakowego startu i tych samych możliwości wpływania na charakter i przebieg dokonywanych reform”.

W którym kościele dzwonią? Inne Kluby chcą tego samego. Nie o to nam, zreszta, chodzi.

Chcilibyśmy wiedzieć kto tych trzech posłów upoważnił do występowania w imieniu wszystkich katolików? Katolicy? To tak brzmi, jak gdyby cała katolicka Polska. Poprawniej byłoby i tak całkiem uczciwie, gdyby poseł Frankowski powiedział: „Nasi wyborcy są gotowi itd.”

Z kolei trzeba by się zapytać: A w czym znówu upoważnił występują panowie z „Polski Ludowej”? W imieniu tej „reszty katolickiej Polski”? A może katolickich chłopów? Panowie, jakże niezrozumiale pytanie. Bo przecież, chcilibyśmy wiedzieć, kto tych 27 posłów PSL upoważnił do występowania w imieniu wszystkich chłopów? Poprawniej byłoby... itd. I. I.

## LIST DO REDAKCJI

Pod nieobecność moją w Łodzi zdarzył się zabawny przypadek. Wiersz debiutanta, p. Bolesława Michała Soczyńskiego, zakwalifikowany przeze mnie do druku, ukazał się w ostatnim numerze „Wsi” jako mój utwór. Nazwisko moje widnieje nad wierszem ani nie przeinaczone, ani nie zamazane, ale wyraźne jak byk. Kogo winić? Korektora, członków Redakcji, którzy byli na miejscu? Nie wiem. W każdym razie prosiuję nieprzejmąną bądź co bądź dla mnie omyłkę.

Stanisław Piętaś.

## SPRZĄTANIE

W numerze 8 (87) „Wsi” z dnia 23 lutego 1947 roku wiersz pt. „Kasztanki” napisany przez Bolesława Michała Soczyńskiego został omyłkowo podpisany nazwiskiem Stanisława Piętaś. Przeproszając autora za tę omyłkę dajemy jeszcze raz pełny tekst wiersza już z jego właściwym nazwiskiem

Bolesław Michał Soczyński

## KASZTANKI

W jakąż gościnę jedziemy? Kurz się wyzwala spod kopyt i kłębami się toczy po drodze pod same wieśniacze ploty. Wiatr rozdasany jak batem smaga rozdeptane nozdrza — Kto szybciej gna? — Jak w takiej gonitwie rozpoznasz? Widzi się tylko grzywy rozwiane na przężnych karkach; ani się sni przystanąc, odetchnąć, lub paskać. Niczym wyboje — pochyłość tyle, co sama krętość — co raz to dalej, dalej niesie się ostrzy tętent. O, tak! Nie spocząć wcześniej, aż się powietrza nachłęptać, aż sierść od potu stanie się mokra i lepka. Życie rozpięta boki ocalałym z pożołą kasztankom! połom w gościnę mnie wiozą po uścisk letniego ranka.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. Komitet redakcyjny: Zygmunt Kałużyński, Stefan Liechański, Stanisław Piętaś, Leonard Sobierański.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca. Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Zwirki 2. D-011470